



Gazeta Sremska

11-12/2020
ISSN 1232-7476
listopad/grudzień
XXX
cena 5 zł



30 lat „Gazety Śremskiej”

Z okazji jubileuszu przeczytajmy wspomnienia redaktora naczelnego Mariusza Kondzieli, długoletniej redaktor prowadzącej Barbary Jahns, oraz obecnej redaktor prowadzącej – Ewy Nowak.

str. 02



Muzealne odkrywki

Mylący uśmiech majora zwiódł nas, choć nie wszystkich. Fotografia na nowo odkryta, sensacyjna z kilku powodów, po raz kolejny dowodzi, że powstańcy wielkopolscy trzymali się razem długo po powstaniu.

str. 07



Zagłębia wytopiskowe – polodowcowe „perelki”

Historię powstania zagłębi wytopiskowych i ich dzieje w kolejnej części cyklu *Na tropach lodowca po ziemi śremskiej* opisuje Michał Lorenc.

str. 26

Spis treści

str. 02 30 lat „GŚ” – redaktor naczelny ma głos
str. 04 30 lat „GŚ” – wspomina Barbara Jahns
str. 05 30 lat „GŚ” – dopowiada redaktor prowadząca Ewa Nowak
str. 07 Muzealne odkrywki: Powstanie na 102!
str. 10 Eugeniusz Antoni Ferster – wspomnienie
str. 14 Eugeniusz Antoni Ferster jakiego znałem
str. 15 Trzy lekarskie pokolenia
str. 18 Wielkim na pożegnanie
str. 19 Moje śremskie wspomnienia
str. 23 Z pamiętnika starego: Pomnik. Część 2
str. 26 Na tropach lodowca. Część 8.
str. 31 Jestem, więc pytam: Tradycjonalni?
str. 34 Warto przypomnieć: Nagrody literackie 2020
str. 36 Opowiadanie Marty Tok: Pudełko

str. 40 Sentymenty: Śremskie kościoły
str. 42 Kwestionariusz kultury: Sławomir Olgierd Kramm
str. 44 Nasz Talent: Bruno Gapys
str. 46 Kino niewidzialne: *Kajillionaire*
str. 48 Z górnej półki: *Jaremianka*
str. 50 Rzeczy minione: *Wielka encyklopedia powszechna PWN*
str. 51 B&B przez Ameryki: Ekwador...
str. 54 Okiem belfra: Wróćmy do prawdziwej szkoły
str. 55 Wieści z ratusza
str. 59 ŚOK – wydarzenia
str. 60 Muzeum – wydarzenia
str. 62 Biblioteka – wydarzenia

Mariusz KONDZIELA

Coś się kończy, coś się zaczyna... rzecz o trwaniu i zmienianiu

Listopad, liście lecą z drzew... 25 lat temu też leciały. Niby tak samo, a jednak inaczej. Tak, tak wiem, że „Gazeta Śremska” skończyła lat TRZYDZIEŚCI. Ale jej dzisiejsze oblicze narodziło się w 1995 roku, w listopadowym numerze, miesięczniku przygotowywanym i wydawanym w Muzeum Śremskim. Wejście w strukturę organizacyjną Muzeum zaowocowało wielką przemianą: zmniejszeniem formatu, zwiększeniem objętości, zastosowaniem kolorowej, fotograficznej okładki, w treści skupieniem na tematyce społeczno-kulturalnej i rezygnacją z dominującej roli sprawozdawczo-informacyjnej. Uznałem wówczas, że zmaganie się z czasem, konieczne w redagowaniu tygodnika czy dwutygodnika, a praktykowane już na śremskim rynku prasowym pozbawione jest sensu. Pieniądze podatnika, z których finansowana jest Gazeta, powinny być dobrze ulokowane we współczesności i historii. Tak powstał pierwszy numer nowego starego periodyku. I od początku była Gazeta trochę lokalna i trochę ponadlokalna, a myślą jej autorów nawet światowa. „Gazeta Śremska” daje mi kilka powodów do satysfakcji. Po pierwsze jest taka jak założyłem, a właściwie dzięki kształtującym ją ludziom lepsza. Po wtóre wiele osób znalazło na jej stronach miejsce swojej debiutanckiej wypowiedzi i zrobiło w przyszłości z tego dobry użytek. Zaczęli pisać, publikować, wspominać lub zawodowo zajmować się dziennikarstwem. Po trzecie pismo stało się nierzadko jedynym materiałem źródłowym do najnowszych dziejów Śremsku, skupiając wspomnienia z czasów bliskich, a jednak już bardzo historycznych. Lokalnej historii nigdy dosyć w budowaniu własnej tożsamości, a w podręcznikach jej nie uświadczysz. Po czwarte, że nikt się w Śremie Gazety nie wstydzi, pokazuje ją znajomym z całego świata. Trudno

o bardziej przebojowy materiał promocyjny dla miasta. Po piąte Gazeta zdobywa uznanie niezależnych gremiów fachowych – kilka wyróżnień Izby Wydawców Prasy GrandFront i nagroda im. Romy Brzezińskiej za konsekwentne odkrywanie skarbów kultury, historii, przyrody i rodzinnych tradycji, inicjowanie wielu pożytecznych działań na rzecz lokalnej społeczności, za prezentowanie na łamach pisma różnorodnych talentów czytelników. Za wszystkie inne ustne wyrazy uznania i sympatii w imieniu zespołu redakcyjnego dziękuję.

Bez fałszywej skromności sobie przypisuję ideę, ogólną koncepcję i formę „Gazety Śremskiej” po 1995 roku. Od początku tego okresu redaktorem prowadzącą była Barbara Jahns, twórczo i z pasją redaktora naczelnego myśli rozwijająca. Przez początkowy czas „nowej” Gazety sekretarzem redakcji była Małgorzata Jurgowiak, graficzne elementy wprowadzał Robert Czapracki, któremu patronował Eugeniusz Ferster, autor ówczesnego logo. Wizerunek pisma to także konkretne okładki, zwykle inspirowane przez redaktorów, ale znakomicie artystycznie tworzone przez Mariusza Dziubę, a później z konkursowymi sukcesami przez Szymona Majewskiego.

Na postrzeganie gazet wpływa umiejętność formułowania myśli i poprawność językowa. Długo osobiście zajmowałem się korektą przyjmowanych do publikacji tekstów. Czasem było to łatwe i przyjemne, ale niekiedy nasuwało skojarzenie z rzeźbieniem w granicie. Osiągnęliśmy w tej materii znaczące umiejętności. Po latach korektę ostatecznie powierzyłem Katarzynie Tomczak, sam rezygnując z roli „Zosi Samosi”.

Przez ostatnie 9 lat... a właściwie prawie od dziesięciu „Gazeta Śremska” utrzymuje nowy układ kompozycyjny publikacji zaprojektowany przez

Patrycję Łukomską. Pismo ma nowe logo, jest zdyscyplinowane graficznie, zwiększyło objętość o jedną trzecią, której część zapewniają informacje ze śremskich instytucji kultury. Od 2017 roku piszących motywuje bezwzględnie nowa redaktor prowadząca Ewa Nowak, a Katarzyna Gwincińska wprowadza czytelnika do archiwum on-line. Zespół redakcyjny zdecydował o udostępnieniu bogatego zasobu tekstów, szczególnie o tematyce regionalnej, w najprzystępniejszej czytelnikowi formie, sieci internetowej. To jest kolejny etap rozwoju. A redaktor naczelny ten sam. I tak minęło 25 lat.

„Gazeta Śremska” powstała jednak 5 lat wcześniej, kiedy na fali demokratycznych przeobrażeń zaczęła się w Polsce odradzać niezależna prasa. Początkowo gazety przypominały ulotki, biuletyny, informowały o rzeczywistości starając się unikać propagandowego skrzywienia. „Gazeta Śremska” rozpoczęła działalność w 1990 roku w formie biuletynu powstałego z inicjatywy sa-

morządu gminnego. Stosunkowo szybko pismo przekształciło się w „prawdziwą” lokalną gazetę informującą o bieżących sprawach i wydarzeniach. W ciągu pięciu lat występowała w różnej formie edytorskiej. Zmieniali się redaktorzy naczelni. Z uznaniem wymienię nazwiska: Andrzeja Pakulskiego, Macieja Waraczewskiego, Wojciecha Skrzypka i Janusza Janasika. Kształtowali „Gazetę Śremską” w pionierskim okresie współczesnej prasy lokalnej.

Na koniec rocznicowego wywodu redaktora naczelnego zaserwuję refleksję. Dobrze jest mieć dobrego, odpowiedzialnego mecenasa jakim jest Śrem przez długie lata. Dobrze jest mieć ambicje, które można spełnić dzięki pracy i cudownie jest mieć satysfakcję z tego co się robi, z nadzieją na dobrą przyszłość. Warto jednak pamiętać, że rozwój nie musi być jedynym sposobem istnienia. Wracamy czasami jak po okręgu i ze zdziwieniem obserwujemy widok kolejnego początku. Liście znowu lecą z drzew...

Redaktor naczelny Mariusz Kondziela. Fot. Grzegorz Pawlak



Barbara JAHNS

Wspomnienia redaktorki

Obraz miasta zmienia się na przestrzeni lat. Odchodzą ludzie. Odeszli też niektórzy piszący w naszej gazecie. Pisali o swojej młodości, o szkole, pracy, o swoich przodkach i mieszkańcach Śremu tworzących koloryt tego miasta, wydarzeniach sięgających w odległą przeszłość, przywołując z pamięci obrazy i sięgając do rodzinnych archiwów. Wielu autorów pisze z potrzeby serca, z sentymentu, by ocalić od zapomnienia. Gazeta stała się przez to źródłem wiedzy, która z powodzeniem wspiera historyków w publikacjach na temat historii miasta, a dla młodzieży jest wsparciem w uzupełnianiu wiedzy o tematyce lokalnej. Naturalnie, odnotowuje też współczesne wydarzenia kulturalne i społeczne. Pięć lat temu, podczas uroczystości 25-lecia „Gazety Śremskiej”, redaktor naczelny Mariusz Kondziela, stwierdził, że „zaistniało w Śremie pismo wyjątkowe, nie tylko niebanalną treścią, atrakcyjną szatą graficzną, ale przede wszystkim niekonwencjonalną wspólnotą czytających i piszących”.

Miałam ten przywilej, że mogłam uczestniczyć w tym procesie przez okres 22 lat, redagując ten piękny magazyn historyczno-kulturalny, doceniony przez Kapitułę Konkursu Znak Dobra im. Romy Brzezińskiej, przyznaną naszej redakcji w 2011 roku nagrodą. Redakcja „Gazety Śremskiej” otrzymała tę nagrodę za konsekwentne towarzyszenie przez dwadzieścia lat mieszkańcom miasta w ich codzienności, za odkrywanie skarbów kultury i historii, przyrody i rodzinnych tradycji, za inicjowanie wielu pozytywnych działań na rzecz lokalnej społeczności i skuteczne przekonywanie do niej, za uwieńczoną sukcesem pracę nad ujawnianiem różnorodnych talentów czytelników i ośmielanie do dzielenia się nimi na łamach pisma.

Każda nagroda jest wielką satysfakcją dla kogoś, kto coś robi. Tym bardziej cenna, jeśli się jej nie spodziewamy, nie zabiegamy o nią. I wtedy to zaskoczenie jest pełne. Jak wszyscy jesteśmy próżni, lubimy dostawać prezenty, lubimy dostawać nagrody i lubimy podnosić swój prestiż w ten sposób.

Podpisuję się pod tymi słowami, wypowiedzianymi przez redaktora naczelnego naszej gazety w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych w Poznaniu podczas gali rozdania nagród.

Minęły kolejne lata. W tym roku gazeta świętuje swoje 30-lecie. Odchodząc na emeryturę podziękowałam wszystkim współpracującym z gazetą. Bo to Oni, pisząc są twórcami lokalnej rzeczywistości. To dzięki autorom, „Gazetę Śremską” bierze się do ręki z wielką przyjemnością. Żegnając się z gazetą w czerwcu 2017 roku (jak ten czas leci), przekazałam pałeczkę pani Ewie Nowak, z życzeniami, by praca w gazecie i współpraca z piszącymi dostarczała Jej ogromnej satysfakcji. Tak się stało. Redaktor prowadząca lubi kiedy tekst prasowy owocuje jakimś pozytywnym działaniem. Szuka tematów i ludzi, którzy tekst przekładają na działanie czy społeczne czy artystyczne. Zawsze pozytywne, zakończone sukcesem. Tak działała wspaniała poznańska dziennikarka, Roma Brzezińska.

Wyczekuję na każdy kolejny numer. Podziwiam zawartość treściową gazety, szatę graficzną i profesjonalny skład komputerowy. Nigdy się nie zawodzę. Brawo Ewa!

Dziękuję redaktorowi naczelnemu Mariuszowi Kondzieli, że przed laty zaufał mi powierzając stanowisko redaktor prowadzącej i pozwolił rozwinąć skrzydła. To była piękna przygoda.

Ewa NOWAK

Gazeta to WY

30 lat funkcjonowania „Gazety Śremskiej”, w tym 25 lat w strukturze Muzeum Śremskiego, to dobra okazja na podsumowanie i świętowanie. I oczywiście na chwalenie się. Ze świętowaniem musimy niestety się wstrzymać, ale pochwalić się nikt nam nie zabroni.

A więc chwalimy się. Te 25 lat w Muzeum to nieustanny okres szlifowania, dopieszczania, zmian, a jednocześnie kontynuacji. Kontynuacji linii i kierunku, który w 1995 roku wyznaczony został przez redaktora naczelnego Mariusza Kondzielę. Nie byłoby tej Gazety bez redaktor prowadzącej – Barbary Jahns, która przez ponad 20 lat układała, dopilnowywała, wymyślała, przekonywała... To dzięki niej i niezwyklej grupie autorów i czytelników, którą udało jej się zainteresować i skupić wokół Gazety, funkcjonuje ona przez tyle lat. I to jak funkcjonuje. Jest naprawdę niezwykłym i wyjątkowym wydawnictwem na skalę ogólnopolską. Nie ma miasta, które przez tyle lat wspiera wydawanie takiej Gazety i nie ma takiej Gazety nigdzie. W tym miejscu składamy serdeczne podziękowania Urzędowi Miejskiemu za wieloletni mecenat! Bo „Gazeta Śremska” jest wyjątkowa pod każdym względem – i edytorskim i treściowym. To też niezwykła wspólnota autorów i czytelników zainteresowanych historią miasta, ludzi, wydarzeń, ale nie tylko... To wizytówka miasta i regionu... I to jaka wizytówka!

4 lata temu miałam odwagę przejąć funkcję redaktor prowadzącej od pani Barbary Jahns. Od Basi po prostu. Sama się sobie dziwię, że to zrobiłam, bo doświadczenia w tej dziedzinie nie miałam żadnego. Ale trzeba mieć odwagę. Więc się odważyłam. I mam nadzieję, że tego jak wygląda Gazeta przez te ostatnie cztery lata nie mu-

szę się wstydzić. Powiem więcej – jestem dumna. I mam nadzieję, że nie tylko ja. Bądźmy z niej dumni wszyscy, ale przede wszystkim czytamy. Bo naprawdę jest tego warta. A przyszłość? Zobaczymy... Już teraz można ją czytać w wersji on-line (oprócz najnowszych numerów). To wielka radość, zwłaszcza dla czytelników, którzy mieszkają poza Śremem. Dla nas oczywiście też, bo to znaczy, że nadążamy za zmieniającą się rzeczywistością.

W prezencie postanowiliśmy udostępnić czytelnikom i nie tylko bibliografię „Gazety Śremskiej” od 1995 roku. Do końca jubileuszowego roku będzie dostępna dla wszystkich. To będzie wielkie ułatwienie dla poszukujących informacji, konkretnych tekstów czy autorów. Sami sobie bijemy brawo, bo wykonaliśmy naprawdę dużą i ważną robotę.

Życzę Państwu jeszcze wielu lat z „Gazetą Śremską”, bo mamy nadzieję, że wydawana będzie jeszcze długo. Przynajmniej tak długo, jak będą chcieli Państwo ją czytać. Zapraszam do współpracy, do kontaktu, do dzielenia się z nami wspomnieniami, informacjami, rodzinnymi opowieściami i fotografiami. Bo to Państwo współtworzyacie ją razem z nami.

Gazeta
Śremska 30 lat

GAZETA ŚREMSKA

**BIULETYN SAMO-
R Z A D U
TERYTORIALNEGO**

Redaguje zespół w składzie:
Barbara Baczyńska, Jerzy Kondras
Andrzej Pakulski (redaktor odpow-
iedzialny), Wojciech Skrzypek

Wydawca:
Zarząd Miasta i Gminy Śrem
Adres: 63-100 Śrem
ul. Mickiewicza 17

NR 1/90

500 zł

JUŻ JESTEŚMY

Po paru miesiącach ciszy informacyjnej, trafia do rąk Państwa pierwszy numer „Gazety” poświęcony głównie nadrobieniu zaległości w owej podstawowej sferze, jaką jest przepływ wiadomości. Biuletyn nasz, finansowany przez władze miejskie, służyć ma reprezentowaniu racji „firmy” – nie oznacza to jednak całkowitej od niej zależności. Poda- rowano nam sporą dawkę autonomii – co z nią zrobimy – zależy również od Państwa.

Nowe, które się rodzi wymaga przede wszystkim obiektywnej rejestracji; – świeże decyzje, inne struk- tury polityczno-gospodarcze, incy- tywy obywatelskie – to już fakty.

Naszym zadaniem jest przedsta- wienie mieszkańcom Śremu i okolic

rzetelnej informacji o funkcjonowa- niu Urzędu Burmistrza. Nie będzie- my unikać stawiania pytań – także w kwestiach kontrowersyjnych, spornych – wszak miasto jest na- sze, Burmistrz jest nasz!

I w tym momencie powinniście pojawić się Wy, drodzy (potencja- ni?) Czytelnicy ze swoimi opiniami i zastrzeżeniami. To ma być prze- cież Wasza Gazeta! Choć czas nie sprzyja deklaracjom, umówmy się: to, co sensowne, ważne dla ludzi i miasta, musi zaistnieć w „Gazecie”. My postaramy się obiektywnie i ucz- ciwie prezentować racje zarówno Urzędu, Radnych, jak i wszystkich mieszkańców Miasta i Gminy.

REDAKCJA

TELEGRAM

PROGRAM IMPREZ I UROCZYSTOŚCI Z OKAZJI NARODOWEGO ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI 11 LISTOPADA 1990 r.

- godz. 16.30 – Uroczystości na Pl. 20 Października z udziałem Radnych, Kompanii Honorowej WP oraz Orkiestry Dętej Tow. Muzycznego
- godz. 17.00 – Impreza okolicznościowa w kinie „SŁONKO”.
W programie:
– koncert muzyki polskiej w wykonaniu Kapeli Zamku Rydzyskiego
– „Polski Listopad” – obrazy poetyckie – prezentuje młodzież Zespołu Szkół Zawodowych w Śremie
– wystawa rocznicowa
- godz. 18.30 – Projekcja filmu fabularnego w kinie „SŁONKO”
Imprezy sportowe

11 LISTOPADA 1990 r.

- godz. 10.00 – Finał rejonowy szkół podstawowych w piłce nożnej i mini- piłce – stadion sportowy ŚOSiR
- Turniej halowy piłki nożnej dla pracowników zakładów pracy – sala sportowa ŚOSiR
- Zawody strzeleckie z wiatrową salą sportową ŚOSiR
- godz. 14.00 – Turniej tenisa stołowego – obiekt sportowy Odlęwni Żelwa
- 12 LISTOPADA 1990 r.
- godz. 16.45 – Wieczorny sztafetowy bieg uliczny o puchar Burmistrza – start: Pawilon Spółdzielni Mieszkaniowej

ZAPRASZAMY SERDECZNIE MIESZKANCÓW MIASTA I GMINY.

BURMISTRZ
BOGUSŁAW BAJOŃSKI

PIERWSZE SESJE RADY CZYLI KTO RZĄDZI W ŚREMIE

Inauguracyjna Sesja Rady Miasta i Gminy w dniu 8.06.90 r. przyniosła rozstrzygnięcia w sprawach persona- lnych. Dokonano wyboru Przewo- dniczącej Rady (Barbara Troszyńska), Wiceprzewodniczących Rady (Krzysztof Łożyński, Stanisław Włodarczyk), Burmistrza (Bogu- sław Bajorński), Członków Zarządu (Grzegorz Wybieralski, Sławo- mir Karczewski, Wojciech For- nolik, Donat Tomczak) oraz delega- tów do Sejmiku Samorządowego (Janusz Janasik, Andrzej Pakulski).

BARBARA TROSZYŃSKA – lat 39, mgr prawa, pracuje w Spółce Rad- ców Prawnych ERGO, mężatka, dwóch synów.
KRZYSZTOF ŁOŻYŃSKI – lat 40, do- ktor nauk technicznych, inżynier bu- downictwa lądowego, pracuje w Po- litechnice Poznańskiej, żonaty, dwóch synów.
STANISŁAW WŁODARCZYK – puł- kownik Wojska Polskiego – Jedno- stka Wojskowa w Śremie.

Najwięcej emocji wzbudziły wy- bory Burmistrza. Zgłoszono dwie ka- ndydatury: Bogusława Bajor- skiego oraz Jacka Sarnowskiego. Ra- dni wybrali tego pierwszego.
B. Bajorński ma 38 lat, jest żonaty i ma jednego syna. Z wykształcenia jest in- żynierem elektrycznym – automaty- kiem, absolwentem Politechniki Po- znańskiej. Od 18 lat mieszka w Śre- mie. W latach 1972-1985 zatrud- niony był w Odlęwni Żelwa. Od 1985 roku pracuje w Urzędzie Tele- komunikacyjnym na stanowisku sta- szego specjalisty. Członek NSZZ „So- lidarność”, współwódcą sukce- sów wyborczych Komitetu Obywa- telskiego w Śremie. Nigdy nie należał do żadnej partii politycznej.

Jako kandydat na Radnego zapo- wiadział: *Rządy prawa i zaspokajanie potrzeb mieszkańców, to podstawo- we cele funkcjonowania Rady Miejskiej. Rządy prawa – jednakowe stoso- wanie prawa wobec siebie i innych.*

Potrzeby społeczne – zaspokajanie ich następuje, w miarę zasobności kasy miejskiej. Stąd konieczność stwarzania jak najlepszych warunków do gospodarowania dla wszystkich / wszystkich. Społeczeństwo bogate to suma bogactwa jego obywateli. Panie Burmistrzu, czekamy na realizację programu i życzymy powodzenia.

Podczas kolejnej Sesji wybrano Zastępcą Burmistrza Grzegorza Wybieralskiego.
GRZEGORZ WYBIERALSKI – lat 30, żonaty, trzy córki, mgr ekonomii, ab- solwent Akademii Ekonomicznej w Poznaniu oraz Podyplomowego Studium Organizacji i Kierowania przy Uniwersytecie Warszawskim. Poprzednio pracował na stanowisku kierownika Działu Finansowego Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie.
Rada, na wniosek Burmistrza, po- wołała na stanowisko **Sekretarza Miasta i Gminy Eugeniusza Mi- chalska** oraz na stanowisko **Skar- bnika – Genowefy Szulcowskiej**.
EUGENIUSZ MICHALAK – lat 40, żonaty, dwóch synów, inż. elektryk, ostatnio pracował w Spółdzielni Mie- szkaniowej w Poznaniu jako kiero- wnik Administracji Osiedla Przyjaźni.

Czwartą Sesję Rady poświęcono posiedzeniom 7 Komisji Rady, przegło- sowano Przewodniczących:
1. Komisja Prawa i Porządku Publicz- nego (Jacek Sarnowski);
2. Komisja Gospodarki Komunalnej, Handlu i Usług (Jan Mieloszyński);
3. Komisja Rolnictwa i Leśnictwa (Franciszek Dzierżawczyński);
4. Komisja Oświaty i Wychowania (Andrzej Pakulski);
5. Komisja Zdrowia i Opieki Społecz- nej (Piotr Kosierb);
6. Komisja Finansów i Budżetu (Ma- nek Basaj).

W.S.A.P.

Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

Powstanie na 102!

Zbliża się 102. rocznica wybuchu powstania wielkopolskiego, zatem skawpliwie korzystamy z okazji, by „Odkrywki” poświęcić temu tematowi. Powstaniem wielkopolskim zajmujemy się w naszej muzealnej pracy na co dzień, a ściślej jego uczestnikami, bo ciągle niepokoi nas, że mogliśmy kogoś pominąć w naszym Panteonie i ciągle czujemy niedosyt, że nie wszystkim umiemy stworzyć biogram. Nowych faktów dostarcza ostatnio praca Radosława Franczaka, który gro-

madzi wiedzę o żołnierzach powiatu śremskiego poległych w wojnie polsko-bolszewickiej. Żmudne przeszukiwanie zdigitalizowanych archiwaliów i powolne docieranie do rodzinnych archiwów przynosi efekty. Czasem jest to miłe zaskoczenie, jak choćby numer „Powstańca Wielkopolskiego” ze śremskimi akcentami – wiersz Magdaleny Dąbrowskiej, żony Hieronima. Pani Magdalena nie tylko pisała wiersze. Na początku 1939 roku została wybrana przewodniczącą działającego

„Powstańca Wielkopolski” nr 17-18 z 15 września 1937 roku

Za Wolność

Podczas uroczystej akademii z okazji 15-lecia Towarzystwa Powstańców i Wojaków w Śreмі, 22 sierpnia 1937 r. zadeklamowała Bożenka Dąbrowska z Śreму wiersz poniższy:

Cześć Wam, Powstańcy! Cześć Wam, Wojacy!
Cześć Wam, waleczni, dzielni Śremitacy!
Cześć wszystkim, którzy za broń chwycili,
Z butnym „Grenzschutzem” mężnie walczyli
Za Wolność!

Oto te hołdy — z racji istnienia
Już lat piętnaści Stowarzyszenia —
Córa Powstańca Wielkopolskiego
Składa Wam w darze z serca szczerego
Za Wolność!

My dzieci szkolne Wam zawdzięczamy,
Że dziś po polsku pacierz mawiamy
W tych szkolnych murach, gdzie Was smagano
I „Nie zginęła!” śpiewać nie dano
Za Wolność!

W owych to latach strasznej niewoli
I Wy — i Wasi bracia niedoli —
Modliliście się w każdą niedzielę,
By Bóg zezwolił walczyć Wam śmieło
Za Wolność!

Wysłuchał modły Bóg polskiej duszy:
Drogiej Ojczyzny kajdany kruszy,
Gdy brat powstańcza z wrogiem się ściera,
Walczy — zwycięża — krwawi — umiera
Za Wolność!

O wielkich czynach licznych Powstańców
W obronie Polski Zachodniej szanów
Mówią cmentarne w pomnikach glazy,
A na nich tylko te dwa wyrazy:

Za Wolność!

Wpisał historyk do „Złotej Księgi”,
Jak śrogi dostał zaborca cięgi
Od Was — Powstańców — tam pod Zbąszyniem,
Rawiczem, Lesznem, Nakłem, Szubinem...

Za Wolność!

A dziś? — Powstańca w nerwach swych czuje,
Że wróg odwieczny armat moc kuje;
Znów Wielkopolska, Śląsk i Pomorze
W krwawej rozgrywce stanąć z nim może

Za Wolność!

O nie! — Nie tędy dla mściwych droga!
A nam nie godzi lękać się wroga,
Dopóki z spiżu, w mundurze, zbroi,
Na śremskim Rynku „POWSTANIEC” stoi

Za Wolność!

Mówi podanie, — kto chce niech wierzy —
Że ten POWSTANIEC w bęben uderzy
Na alarm wojny, — że się ocuci, —
I znów zwycięży, gdy hasło rzuci:

Za Wolność!

Magdalena Dąbrowska.

24	Kęszycki Daniel		
3380			
1	VII	1884	Uw. w Londynie Adres: maj. Błociszewo pow. Błoci- szewo pow. Grem.
ODRZUCONO			
na pos. komitetu w dn. 12 / 6 / 1935 r. (prot. pos. Nr. 103) z powodu braku miejsc w kadrach.			

„Odrzucono z braku pracy niepodległościowej”... – strona tytułowa akt Daniela Kęszyckiego Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości, fot. Centralne Archiwum Wojskowe

w Śremie koła stowarzyszenia „Rodzina Powstańców”. Redakcja cytowanego „Powstańca” dopisuje, że wiersz recytowała Bożenka, przypuszczalnie mając na myśli córkę państwa Dąbrowskich, chociaż ich córki miały inne imiona: Gabriela, Teresa i Aleksandra. Gdzie pomyłka? Ot, kolejna zagadka.

Bywa, że archiwa zaskakują nas niemiłe – odrzucony wniosek Daniela Kęszyckiego o Krzyż Niepodległości. Doświadczamy też efektu synergii – wracając do znanych nam wcześniej fotografii, odkrywamy je zupełnie na nowo, lepiej rozumiemy ich treść i znaczenie. Ba! Odkrywamy wizerunki liderów, których portretów szukaliśmy bez nadziei na dobrą jakość fotografii. Tak się zdarzyło m.in. z Władysławem Szczepkowskim, Konstantym Bnińskim, a teraz – zupełnie sensacyjnie – z majorem Chosłowskim (na stronie obok), chociaż jego uśmiech i brak munduru sprawiły, że nie od razu było oczywiste, na kogo patrzymy.

Myślimy o powstańcach dwojako, jak o indywidualnościach i jak o pewnej wspólnotce. Myślimy o powstaniu wielkopolskim i snujemy refleksje w odniesieniu do innych historycznych wydarzeń i do teraźniejszości.

Przypomnijmy, kiedy powstanie może być zwycięskie. Kiedy jest oddolne, masowe, lokalnie zorganizowane dobrze, globalnie – mniej więcej, a sprawa, o którą się walczy, jest wspólna i oczywista dla wszystkich. Kiedy powstańcy są wyszkoleni przez wroga wojskiem, lecz świadomość mają własną, odrębną, ukształtowaną przez dziesiątki lat pracy liderów. Kiedy istnieje gotowa struktura administracyjna, która po pierwszym militarnym sukcesie gładko przejmuje władzę. Kiedy ta struktura ma zaplecze finansowe wypracowywane przez te same dziesiątki lat. Kiedy istnieją lokalne autorytety stowarzyszone z innymi lokalnymi autorytetami. Kiedy cel nadrzędny sprawia, że przyrodzone wszystkim, naturalne słabości są tłumione i opanowywane, przynajmniej na czas walki i reorganizacji po



Uśmiechnięty mjr Stefan Chosłowski po cywilnemu (siedzi czwarty z lewej), obok Daniel Kęszycki z garniturem medali, które przeczą stwierdzeniu o „braku pracy niepodległościowej”, centralnie z ułańską szablą siedzi gospodarz, por. Zygmunt Siciński, drugi od niego na prawo Wacław Ruś. Weterani powstania wielkopolskiego na spotkaniu w dworze Małachowo pod Dolskiem, ok. 1930 r.

zwycięstwie. Potem zdobytą powstaniem władzę przejmują politycy.

Ostatnie zdanie brzmi smutno. Tacy jesteśmy i raczej się nie zmienimy. Szybko konsumujemy zwycięstwo, szybko popadamy w gnuśność i sibiępaństwo. Szybko przesuwamy bohaterów do legendy „ktoś coś gdzieś”, nawet wtedy, gdy jeszcze żyją, bo jakoś tak bezsprzeczne ich zasługi zaczynają uwiierać przy odchodzeniu od wartości, które nimi kierowały. Tak jest zawsze i wszędzie. Każdy naród jak lawa.

A bohater dalej żyć musi, musi wrócić do normalnej egzystencji, nie tak romantycznej i bez adrenaliny. I nie może zbyt często przypominać o swoich wojennych przygodach czy zasługach, bo wyjdzie na nudziarza i zrzędcę. Dlatego się stowarzysza w grono, które zapewnia mu możliwość opowiadania w nieskończoność tych samych wydarzeń, ale przede wszystkim wspólnotę tych samych przeżyć i zrozumienie. Stąd zapewne siła

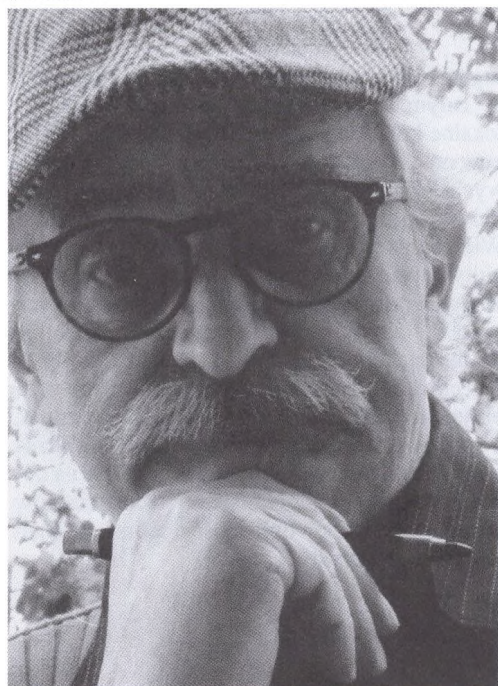
organizacji powstańczych w II Rzeczypospolitej. W całym powiecie śremskim prężnie działały lokalne koła Towarzystwa Powstańców i Wojaków oraz Związku Weteranów Powstań Narodowych RP 1914-1919, które w 1937 roku stopniowo połączyły się w Związek Powstańców Wielkopolskich. Druhowie, jak siebie nazywali, kultywowali pamięć o powstaniu i promowali aktywną postawę patriotyczną, która w tamtych czasach łączyła się ze sprawnością militarną. W tę działalność wpisywał się także Związek Oficerów Rezerwy – weteranów zarówno powstania jak i wojny polsko-bolszewickiej. Fotografia, z cyfrowych zasobów regionalisty Bohdana Kaczmarka, odczytana przez nas zupełnie na nowo, pokazuje, że członkowie różnych związków i towarzystw stanowili jedność i dobrze się czuli w swoim towarzystwie.

Karolina OPAŁA-MOZGWA

Eugeniusz Antoni Ferster – wspomnienie

26 sierpnia 2020 roku po ciężkiej i długiej chorobie zmarł Eugeniusz Ferster – wybitny śremianin i ceniony artysta plastyk. Mieszkańcy naszego miasta znali go jako przemiłego starszego pana, który spacerując po Jezioranach ze swoim ukochanym jamnikiem, potrafił z każdym zamienić parę słów. Większość ludzi wiedziała, że był on twórcą karykatur znanych osób oraz projektantem logotypów np. Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie czy „Gazety Śremskiej”. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę z tego, że był on wybitnym

Eugeniusz Ferster ze swoim ulubionym otówkiem „Kubusiem”



znawcą jazzu, pasjonatem fotografii oraz autorem aforyzmów. Był także ojcem dwójki dzieci, dziadkiem Dominiki, Mii i Vincenta, kochającym mężem i przede wszystkim niezwykle ciepłym, skromnym i życzliwym człowiekiem.

Urodził się w Śremie na Starym Rynku. „To było dziwne dziecko. W piłkę na boisku nie grał. Chodził tylko do księgarni i biblioteki. Jak dostał jakieś pieniądze, to od razu biegł do księgarni” – wspomina jego ukochana żona Regina Ferster. Opowiada, jak to pewnego razu wraz z kolegą poszedł pieszo do Gostynia, aby obejrzeć *Krzyżaków*. Wtedy pierwszy raz dostał od mamy burę. *Krzyżaków* oglądał i czytał wiele razy. Do tego stopnia, że teksty znał na pamięć.

„Już jako dziecko przejawiał wielki talent do rysowania. Jednak z rysunku miał dwóję. Uwielbiał rysować. Wszystkim kolegom namalował rysunki, a sam sobie już nie zdążył” – mówi jego żona. Z matematyki nie był orłem. „Spotkałam kiedyś w szpitalu 90-letnią nauczycielkę matematyki Genia. Gdy zobaczyła moje nazwisko na fartuchu, to od razu coś skojarzyła. Mówi do mnie «Ferster? Uczyłam kiedyś takiego. Matematyki nie umiał, ale wie pani jak ładnie rysował» – opowiada. Młody Eugeniusz zdawał nawet do szkoły plastycznej. Jednak usłyszał tam, że jest tak zaawansowany w tym, co potrafi, że nie będzie miał, co w tej szkole robić.

Jego ulubionym miejscem w Śremie było właśnie Stare Miasto oraz tereny nad Wartą. Stamtąd wywodziła się jego mama.

W 1969 roku Eugeniusz Ferster narysował polskiego muzyka jazzowego Włodzimierza Nahornego. Magazyn „Jazz Forum” opublikował ten rysunek. W ten sposób śremianin zadebiutował na łamach jednego z najbardziej znanych pism jazzowych. „Ten pożyczniety egzemplarz

„mam do dziś” – mówi pani Regina. W latach 80.-90. był on jedynym ilustratorem tego czasopisma. Publikował też w „Szpilkach”, „Na Przełaj” i „Głosie Śremskim”. Jego grafiki zawędrowały do Francji, Niemiec, Kanady, USA i Japonii.

Był wielkim pasjonatem i znawcą jazzu. „Swoją pasją zarażał kolegów. Razem jeździli na Jazz Jamboree. Gdy pracował w odlewni, to poprzez wewnętrzne radio, puszczał im jazz. Różnie to było wtedy odbierane” – wspomina żona.

Jak mówi burmistrz Śremu, Adam Lewandowski, był to człowiek instytucja. „Geniu był wszędzie. Jak powstawała spółdzielnia, muzeum, dom kultury czy bractwo kurkowe, to on już tam działał. Był też jednym z założycieli dyskusyjnego klubu filmowego przy Odlewni Żeliwa w Śreмі. Człowiek instytucja z prawdziwego zdarzenia. Nie było takiego wydarzenia kulturalnego w Śreмі, na którym on by nie był” – wspomina Adam Lewandowski.

Podczas spotkania z Reginą Ferster dowiaduję się wielu rzeczy, które pokazują tego wielkiego artystę jako domatora, miłośnika zwierząt i kochającego męża gotującego żonie obiady.

„Ramzes to pies, który miał chyba najlepiej na świecie – mówi Regina Ferster. Dodaje także z uśmiechem na twarzy, że był to jedyny pies w Śreмі, który bywał w muzeum. Podczas jednej z takich wizyt przegryzł nawet jakieś kable. Wszyscy mówili «pies Ferстера». Był to nieodłączny atrybut męża. Do tego stopnia, że jak Ryszard Zawadzki zrobił Geniowi karykaturę, to Geniu jedzie na Ramzesie i trzyma w ręce pędzelki” – wspomina żona.

Artysta miał też taki czas w swoim życiu, że bardzo lubił gotować. Wszyscy w pracy zazdrościli pani Reni, że ma tak dobrze. Wracając po 12 godzinach do domu miała gotowy obiad. I to nie było jakie. „Mąż kupił sobie książkę kucharską *Kuchnie Świata*. Mówił do mnie: «znam siedem zup» albo «umiem już ugotować dziewięć zup». Miał też książkę *Jak przygotować seler naciowy*. Próbowaliśmy tego selera w różnych postaciach, a ja degustowałam to razem z nim” – opowiada pani Ferster.

Zdradza nam także, że jej mąż był znawcą i smakoszem win. Została po nim pokaźna kolekcja

14-letni Geniu Ferster i jego pierwsze rysunki



win. „Jak mu ktoś podarował wino z domowej piwniczki z 1979 roku, to chyba stoi u nas do dziś” – mówi.

Małżeństwo państwa Fersterów w lutym przyszłego roku obchodziłoby pięćdziesiąt rocznicę ślubu. „Zawsze mówiłam do męża, że w lutym pójdziemy do burmistrza po medal za długoletnie pożycie. Śmiałam się wtedy, że to wstyd tyle lat razem wytrzymać” – mówi pani Renia. Wspomina męża jako typowego artystę, który nie dbał o pieniądze. „Gdyby można było płacić w sklepie muszelkami, to byłby się zgodził. Bardziej ja dbałam o te sprawy. Musiałam utrzymać dom i rodzinę. Mąż nie wymieniał żarówki, nie powiesił obrazu, ale potrafił powiedzieć, że coś jest krzywo zawieszzone. Wszyscy w Śremie znali nas jako współzależnych” – zwierza się wdowa. Opowiada, że nigdy nie była typową żoną artysty. „Znam takie żony artystów, które są bardziej artystyczne niż sam mąż. Są menadżerami. A ja

bardziej myłam mu pędzelki i odkurzałam piórka, gdy go wena za wysoko unosiła” – wspomina.

Regina Ferster ma kilka swoich karykatur namalowanych przez męża. Jednak śmieje się, że mąż często mawiał, iż nie ma takiej dużej kartki, aby ją namalować.

Eugeniusz Ferster wspólnie z burmistrzem Śremu Adamem Lewandowskim napisali książkę pod tytułem *Drzewa niby ludzie*. „Geniu miał w swoim życiu okres pasjonowania się fotografowaniem drzew. Wciąż pokazywał mi zdjęcia drzew. Mówił «mógłbyś coś napisać do tych zdjęć». Tych zdjęć było tak dużo, że wybieraliśmy je przez trzy miesiące. Eugeniusz wybierał, które zdjęcie pasuje do jakiego tekstu. Odbywaliśmy wielogodzinne rozmowy na temat grafiki, koloru, doboru czcionki, czy okładki. Do tego stopnia, że jak już książka była prawie gotowa, to Eugeniusz potrafił przyjść do mnie do domu z nowym pomysłem” – wspomina. Pani Regina

Spotkanie Fersterów z karykaturzystą Erykiem Lipińskim w Warszawie podczas ekspozycji *Twarze i buźki*. Tam śremski artysta również prezentował swoje prace



dodaje, że mąż nie fotografował pięknej przyrody. Najbardziej podobały mu się drzewa uszkodzone, biedne i złamane.

Eugeniusz Ferster jest także autorem *Kramiku Aforysty*, w którym zawarte są niezwykle życiowe mądrości i złote myśli. Jak chociażby ta: „Tyle warte są książki dla życia, co pochodnie w mroczach labiryntu”. Piękne i jakże prawdziwe.

Eugeniusz Ferster zmarł 26 sierpnia br. Żona włożyła mu do trumny kilka jego ulubionych przedmiotów. Znalazł się tam jego ukochany ołówek o pieszczotliwej nazwie „Kubuś”, komplet pędzelków, książka *Drzewa niby ludzie* oraz książka jego przyjaciela Grzegorza Jankowiaka. „Talent ma się od Boga i Bogu trzeba go zwrócić” – mawiał artysta.

Artykuł ukazał się w gazecie „Tydzień Ziemi Śremskiej” nr 39 (1088) z dnia 24 września 2020 roku.

Fotografie pochodzą z rodzinnego archiwum Eugeniusza i Reginy Ferster



Logotyp zaprojektowany przez Eugeniusza Ferstera

Regina i Eugeniusz Ferster, ich dzieci Marek i Anna oraz rodzice pani Reni – Stefania i Antoni Kin



Kazimierz KRAWIARZ

Eugeniusz Antoni Ferster jakiego znałem

W 1972 r. Stanisław Tomczak, właściciel śremskiej drukarni poznał mnie z Geniem Fersterem, śremskim grafikiem, karykaturzystą, bibliofilem, znawcą muzyki jazzowej, filmu. Artystą renesansowym. Zamówiłem u niego wykonanie logo Klubu Filmowego w Kórniku, który w tym czasie się organizował. Nasza znajomość przetrwała aż do Jego śmierci. W numerze „Kórnicanina” z marca 1992 r., opublikowałem artykuł Jemu poświęcony pt. *Eugeniusz A. Ferster – grafik i karykaturzysta*, który napisałem na podstawie wywiadu z nim i licznych rozmów jakie z sobą prowadziliśmy. Warto dzisiaj przypomnieć jego dokonania. Współpracował z Muzeum Karykatury w Warszawie. Wystawiał swoje prace w Paryżu i w Ośrodkach Polonijnych USA i Kanady. Należał do grona najwybitniejszych grafików – karykaturzystów na świecie. W leksykonie *Who's Who in Satire and Humor* wydanym w Bazylei jest notka o nim. Do grona najwybitniejszych swoich znajomych zaliczał Stanisława Mrowińskiego, Lecha Konopińskiego i Eryka Lipińskiego. Z prac wykonanych przez niego dla Kórnika, wymienić należy: znak graficzny Klubu Filmowego w Kórniku, projekt znaczka metalowego Klubu Filmowego w Kórniku, ekslibris Biblioteki Publicznej w Kórniku, (ufundowany przez Klub Filmowy), listownik miesięcznika „Kórnicanin”, znak zespołu „Poznań Brass”, promowanego przez Kórnickie Bractwo Kurkowe, logotyp Muzeum Bnińskiego. Geniu Ferster zaprojektował również mój osobisty ekslibris, z elementem dendrologicznym.

Zachwycał się drzewami i naturą. Były mu niezbędne do życia. Wśród drzew najbardziej bliskie były mu te przez naturę napiętnowane, uszkodzone, zamierające, połamane i biedne. Często

odwiedzał Kórnickie Arboretum, wtedy rozmawialiśmy o drzewach. Jest też współautorem książki *Drzewa niby ludzie*, wydanej wspólnie z Adamem Lewandowskim.

Eugeniusz Antoni Ferster był wyjątkowym artystą, obdarzonym niezwykłym talentem. Jest autorem zbiorów aforyzmów, potrafił trafnie określić istotę rzeczy np. jego aforyzm bibliofilski: „Tyle warte są książki dla życia, co pochodnie w mrokach labiryntu” odnotowało Wielkopolskie Towarzystwo Przyjaciół Książki..

Razem z Jerzym Jurgą, serdecznym przyjacielem, byli również pasjonatami idei bractw kurkowych. Przyczynili się do odnowienia tej idei w Polsce, gdy w 1987 r. powstawało Kórnickie Bractwo Kurkowe, a w 1990 r. Bractwo Kurkowe w Śremie.

Wiadomość o Jego odejściu 26 sierpnia bardzo mnie zasmuciła. Cześć Jego pamięci!

Logotyp zaprojektowany przez Eugeniusza Ferstera



Barbara SIWIŃSKA

Trzy lekarskie pokolenia

Z Ewangelii św. Marka: „Mówił jeszcze: Z czym porównamy Królestwo Boże? Jest ono jak ziarno gorczycy; gdy się je wysiewa w ziemię, jest najmniejsze ze wszystkich nasion na ziemi. Lecz wsiane, wyrasta i staje się większe od innych; wypuszcza wielkie gałęzie, tak że ptaki podniebne gnieźdzą się w jego cieniu”.

Śp. Wojciech Służewski był dla wielu osób jak drzewo dla ptaków, w którego cieniu znajdowały schronienie.

Był synem lekarzy Haliny z Kurnatowskich i Tadeusza Służewskiego. Urodził się 70 lat temu w Śremie. W tym mieście osiedlił się pod koniec XIX wieku dziadek – Bronisław Służewski, zasłużony dla miasta rzemieślnik, kupiec, działacz narodowy i społeczny. Mama, lekarz specjalista chorób dziecięcych, była ordynatorem oddziału dziecięcego, a Tata specjalistą chorób wewnętrznych i ordynatorem oddziału wewnętrznego. Oboje byli znakomitymi, zasłużonymi lekarzami oraz społecznikami, przez całe życie związanymi ze śremskim szpitalem. Wojciech po ukończeniu szkoły podstawowej oraz Liceum Ogólnokształcącego im. Józefa Wybickiego w Śremie, w 1968 roku poszedł śladami Rodziców. Ukończył Wydział Lekarski Akademii Medycznej (AM) im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, uzyskując dyplom lekarza w 1974 roku. W tym samym roku został zatrudniony w Instytucie Pediatrii AM w Poznaniu, początkowo w II Klinice Chorób Dzieci, kierowanej przez prof. Olecha Szczepkiego, a od 1981 roku, to jest od chwili jej powstania, w Klinice Obserwacyjno-Zakażnej tegoż Instytutu, kierowanej przez prof. Marię Chmielową, pod której bezpośrednim kierownictwem przeszedł poszczególne etapy rozwoju zawodowego i naukowego. Uzyskał kolejno trzy specjalizacje z pediatrii, neurologii dziecięcej

i chorób zakaźnych. Pracę doktorską obronił w 1979 roku, zaś przewód habilitacyjny w 1990 roku. Dzięki biegłej znajomości języków obcych, francuskiego, angielskiego i rosyjskiego, odbył cztery długoterminowe staże naukowe w klinikach francuskich i belgijskich: w Paryżu, Montpellier, Rennes, Louvain, a także pięć misji naukowych do klinik we Francji, Belgii, RFN, Finlandii, Wielkiej Brytanii. Staże te zaowocowały licznymi publikacjami, dalszym rozwojem naukowym i nawiązaniem współpracy międzynarodowej z licznymi ośrodkami uniwersyteckimi. Ukoronowaniem pracy dydaktycznej i naukowej było uzyskanie w 1998 roku tytułu profesora dr hab. nauk medycznych.

Od 1991 roku był Kierownikiem Kliniki Obserwacyjno-Zakażnej Instytutu Pediatrii AM, po restrukturyzacji III Katedry Pediatrii i Kliniki Chorób Zakaźnych i Neurologii Dziecięcej Uniwersytetu Medycznego (UM) im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Stworzył wyróżniający się zespół pracowników oraz wprowadził standardy i terapie na poziomie europejskim. Doskonały dydaktyk, uwielbiany przez studentów wykładowca, a zarazem przyjaciel, cieszył się poważaniem i nieukrywaną sympatią środowiska akademickiego. Jego zainteresowania koncentrowały się wokół trzech głównych osi: chorób zakaźnych wieku dziecięcego, neurologii dziecięcej i pediatrii społecznej. Był autorem i współautorem licznych podręczników akademickich, publikacji naukowych w czasopiśmie polskich oraz zagranicznych, recenzentem wielu prac doktorskich, habilitacyjnych i postępowań o nadanie tytułu profesora, a także promotorem Doktoratu Honorowego prof. Roger Jean z Katedry i Kliniki Pediatrii Wydziału Lekarskiego w Montpellier. Prawdziwy tytan pracy!

Przez długie lata organizował i prowadził wymianę studentów medycyny UM w Poznaniu z Uniwersytetem w Rennes (Francja). Skorzystało z tego kilkuset studentów polskich, oraz francuskich. Przez 19 lat był współorganizatorem i prowadzącym grup studenckich na interdyscyplinarnych obozach naukowych Studenckiego Towarzystwa Naukowego (STN) w Trzciance oraz Kołobrzegu. Kilkanaście lat prowadził Koło Naukowe STN przy Instytucie Pediatrii AM, które było prawdziwą kuźnią talentów. Szeroka, poza medyczną, wiedza Profesora pozwalała na prowadzenie nadzwyczaj ciekawych wykładów, bardzo lubianych przez studentów. Był humanistą, człowiekiem renesansu. Zorganizował 4 Konferencje Naukowe Polsko-Francuskie (2 w Rennes i 2 w Poznaniu), przeznaczone dla nauczycieli akademickich i studentów. Na corocznie organizowane pediatryczne ogólnopolskie konferencje naukowo-szkoleniowe w Kazimierzu Dolnym „Dotknij Pediatrii”, jeździła z Ojcem córka Karolina Służewska-Woźnicka, adwokat, prowadząc sesje o tematyce prawniczej dla lekarzy.

Ostatnia, szósta, której Profesor był kierownikiem naukowym, odbyła się na przełomie maja i czerwca 2019 roku. Był wychowawcą wielu pokoleń studentów i lekarzy specjalistów. Udzielał

się społecznie jako członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego (PTP), Prezes Oddziału Poznańskiego PTP, a także członek kilku lekarskich stowarzyszeń europejskich. Za osiągnięcia dydaktyczne został odznaczony najwyższym wyróżnieniem Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu: Medalem im. Władysława Biegańskiego oraz Medalem Edukacji Narodowej. Za całokształt pracy Złotym Medalem za Zasługi dla Służby Zdrowia, Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Pomimo absorbującej pracy zawodowej i pasji naukowej znalazł czas na założenie rodziny. Żonę Annę Działoszyńską, późniejszą dr habilitowaną, poznał na studiach. Prawdziwym skarbem, z którego był dumny, i którego strzegł jak „oka w głowie” były Jego dzieci: trzy córki i syn. Najstarsza córka Karolina Służewska-Woźnicka jest adwokatem, podobnie jak Jej mąż Marek Woźnicki. Druga córka, Monika Służewska-Niedźwiedź jest doktorem medycyny, specjalistą neurologiem w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu, a Jej mąż Artur Niedźwiedź, lekarz weterynarii, jest profesorem dr hab. w Klinice Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Syn Krzysztof Służewski

Rodzina Służewskich, od lewej dr nauk medycznych Monika Służewska-Niedźwiedź, dr Halina Służewska i profesor Wojciech Służewski, archiwum rodziny Służewskich



i Jego żona Ewelina są farmaceutami, pracują w poznańskiej aptece, której Krzysztof jest kierownikiem. Najmłodsza córka Joanna Służewska (po prababci!) rozpoczyna właśnie studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Trójka dzieci osiadła na stałe w Poznaniu. Monika wybrała Wrocław. Wielką radością Profesora była trójka Jego wnuków: Marysia, Mateusz i Hania. Uwielbiał z nimi spędzać czas, organizując niezliczone zabawy.

Poznałam Profesora Wojciecha Służewskiego, gdy miał dziewięć lat. A było to tak. Śremskim deptakiem, którym dla wielu osób był nadwarciański wał, spacerował doktor Tadeusz Służewski z psem Ciapkiem na smyczy, a obok hasał Jego syn, zwany czule Wojo, z kolegą Tadeuszem K. lub Mateuszem K. Po latach, już jako dorośli ludzie spotykaliśmy się okazjonalnie: na zebraniach Koła Polskiego Towarzystwa Lekarskiego (PTL) w Śremie, którego Profesor był członkiem. W 2007 roku na gali wybitnych śremian „Śremianie nie gęsi i swych wielkich mają” zorganizowanej przez Urząd Miejski, Koło PTL i „Tydzień Ziemi Śremskiej”, Profesor był jednym z tych wybitnych. Także w marcu 2011 roku na spotkaniu w kinie Słonko, zorganizowanym przez Koło PTL w Śremie i Śremski Ośrodek Kultury (ŚOK), na którym seniorka dr Halina Służewska została uhonorowana dyplomem MEDICUS NOBILIS przez Zarząd Główny PTL. Przy tej okazji mieliśmy możliwość zaobserwowania spotkania trzech pokoleń lekarskiego rodu Służewskich: Haliny, Jej syna Wojciecha i wnuczki Moniki.

Ten Obywatel Świata zanurzał się w kulturach innych państw, chciał dowiedzieć się, dotknąć, jak najwięcej zobaczyć, był w tym niestrudzony i ciągle nienasycony. Jeszcze w styczniu tego roku zorganizował rodzinną wycieczkę do Hiszpanii, by koniecznie zobaczyć Andaluzję i Gibraltar. Był ciekawy świata, uwielbiał podróże, prawdziwy kosmopolita, któremu kontakty z ludźmi i różnymi kulturami dodawały energii. A przy tym miał serce na dłoni, był ciepły, prawdziwie rodzinny. Rodzice przekazali mu ważne wartości, w tym ukochanie i pielęgnowanie tradycji rodzinnych. Jego specyficzne poczucie humoru, radość bijąca z twarzy, łatwość w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi sprzyjała nawiązywaniu przyjaźni – kochał życie! Czerpał z niego pełnymi

garściami. Nie wyobrażam sobie, by obrał inną niż pediatria specjalność zawodową. Jego podejście do małych pacjentów, bardzo skrupulatne badanie, życzliwość, sprawiały, że dzieci pozbywały się lęku, poddawały się nieraz uciążliwym badaniom dodatkowym. Był znakomitym diagnostą! Miał też liczne pasje, grywał w brydża, posiadał umiejętności, które nie były związane z medycyną np. patent jachtowego sternika morskiego, który uzyskał w Jastarni. Wakacje w kraju spędzał z rodziną tradycyjnie nad Bałtykiem w ulubionym Łedowie koło Ustki, z nieodłącznym pieskiem Kamą, pieszczotliwie zwanym Kamutkiem lub na Mazurach, gdzie dowodził jachtem. Był kapitanem także w życiu. Każde z dzieci miało w Ojcu oparcie, każdej chwili mogło na Niego liczyć i odwrotnie – swoimi problemami życiowymi dzielili się z nimi. Był dla rodziny prawdziwą opoką.

Ale magnesem, który od zawsze przyciągał całą rodzinę pozostał Śrem! Profesor kochał ziemię śremską, była Jego małą ojczyzną. Wpisany na listę zabytków, pieczołowicie utrzymanym i bardzo często odwiedzanym, miejscem rodzinnych zjazdów, pozostał zabytkowy dom przy ulicy Matuszewskiego. Na Dzień Wszystkich Świętych jechało się do Babci. Tam też, uczując przy wielkim stole w salonie, dzieci i wnuki zauroczone były Jego opowieściami o dziecięcych przygodach szkolnych, dawnych czasach, dawnych przyjaźniach. Uwielbiał oprowadzać dzieci i wnuki po Śremie, dzielił się swą wiedzą o śremskich zabytkach. Obowiązkowo odwiedzano cmentarze, ten przy kościele farnym i parafialny naprzeciwko koszar, bo na grobowcach zapisana jest historia rodzinna. Chciał im zaszcześcić ciągłość pokoleniową, osadzić w realiach śremskich, przywiązać do tradycji. W lecie rodzina przez wiele lat wypoczywała w pobliskim Ostrowiecznie, korzystając z uroków okolicznych lasów i jezior. To tam w ubiegłym roku ta wielka Rodzina spędziła Święta Bożego Narodzenia. Jak się okazało ostatnie wspólne z Ojcem.

Zupełnie nieoczekiwanie 19 września 2020 roku Profesor Wojciech Służewski odszedł od nas. Serce moje wypełnia głęboki smutek, ale co czuje Rodzina, co czują te niezliczone dzieci – Jego pacjenci, dla których był wyrocznią, nadzieją i przyjacielem... Pozostał wielki żal. Pustka.

Aleksandra PETRUSEWICZ

Wielkim na pożegnanie

Życiem godnym Wielkich
Ślad po sobie znacząc,
Odchodzą zbyt pośpiesznie
Nikommu nie wadząc
I w ptaki się zmieniają,
Co to gubią pióra
W niebiańskich przestworzach,
Gdzieś w błękitu chmurach.

Gdzieś tam, gdzie dla Wielkich
Miejsce zastrzeżone.
Z fantasmagoriami
Euterpe splecione.
Przywołani z nagła
Jej fletu muzyką,
W marszu agonalnym
Cichuteńko, cicho
Idą, idą, idą...

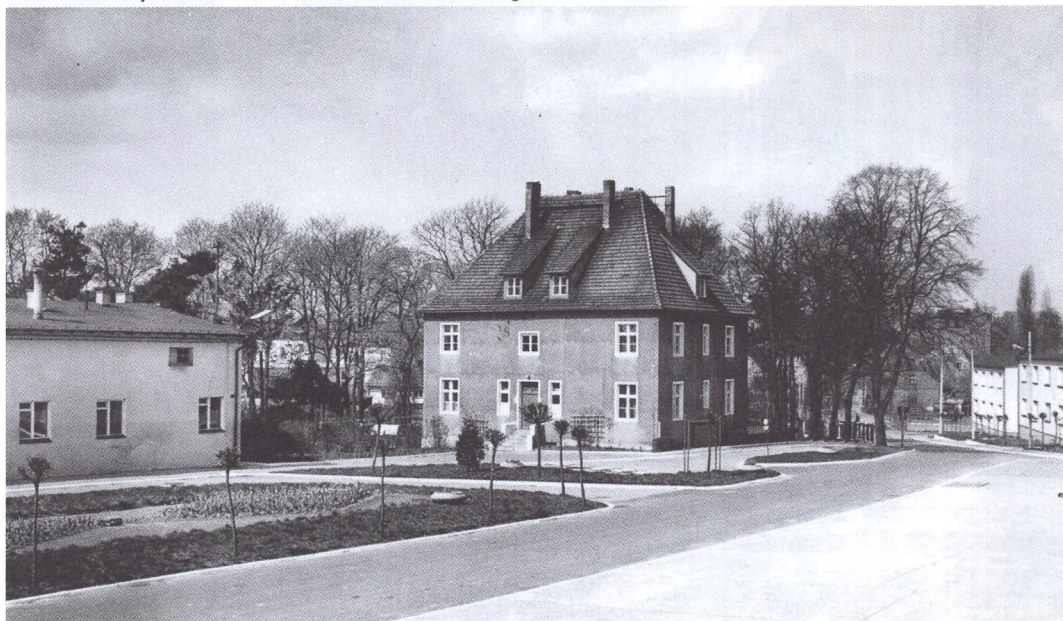
Maria BEREZOWSKA-KANIEWSKA

Moje śremskie wspomnienia

Moja śremska przygoda jest wczesno-jesienna. Przyjechałam do Śremu w pierwszych dniach października 1969 roku, wprost z Bułgarii, którą zwiedzaliśmy w ramach podróży poślubnej. Męża Wojciecha Kaniewskiego poznałam w Katedrze Chemii Organicznej Collegium Chemicum Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w 1966 roku, gdy przyszedł do profesora Jana Bartza na wyznaczony termin egzaminu magisterskiego. W tym czasie zaliczałam 2-letni staż pod kierownictwem tegoż Profesora, a praktycznym jego wynikiem była moja praca dyplomowa pt. *Badanie własności fizyko-chemicznych polimerów stosowanych w kalkomanii ceramicznej*.

Staż ten był wymogiem programu nauczania Technikum Chemicznego im. Marii Skłodowskiej-Curie nr 2 w Poznaniu przy ulicy Stalingradzkiej 43. Na Wójtostwie działała Wojewódzka Stacja Doświadczalna Oceny Odmian Roślin Uprawnych, której dyrektorem był inż. Piotr Wachowiak. Mój mąż jako chemik, podjął się zadania zorganizowania nowego laboratorium analitycznego i to w miejscu istniejącej tam starej obory. W efekcie powstało okazałe laboratorium analityczno-doświadczalne, zorganizowane na dobry rok przed moim przyjazdem do Śremu-Wójtostwa.

WSDOO na Wójtostwie, fot. ze zbiorów Muzeum Śremskiego



Pierwsze wrażenia były szokująco-interesujące. Nowe miejsca, nowe twarze, nowe doświadczenia zawodowe, tęsknota za domem rodzinnym, za miejskim środowiskiem. Urodziłam się w Poznaniu. Moim „całym światem” był dom dziadka Stefana Berezowskiego, Lwowianina, lotnika, oficera 3 Pułku Lotniczego Poznań-Ławica. To tam w Poznaniu, w dzielnicy Grunwald, przekornie nazwanej Abisynią, w swoim ukochanym domu otoczonym ogrodem, Dziadek wygospodarował mi paniński pokój, który mogłam urządzić wg własnego gustu. Nasz zakład pracy, czyli WSDOO gwarantował zamiejscowym pracownikom samodzielne pokoje a kierownikowi, którym był mój mąż, mieszkanie. Niewykończone jeszcze budynki pachniały świeżą zaprawą murarską i farbą olejną. Mieliśmy pierwsze własne rodzinne mieszkanie! Za segmentami mieszkalnymi wybudowano chlewiki, kurniki, a na specjalne życzenie kilku przewidujących mieszkańców, zaadoptowano pomieszczenia gospodarcze na garaż. Przysługiwał nam przydział mleka i ziemniaków z gospodarstwa i z pól doświadczałnych.

Przydziałowy litr mleka należało odebrać w oborze, jednak tamtejszy zapach był dla mnie tak ostry, że przyjazny nam pracownik działu gospodarczego, grzecznościowo przynosił słoik mleka pod drzwi mieszkania. Smak mleka był nadzwyczajny.

Samodzielne zamieszkanie w 3-kondygnacyjnym segmencie dawało młodym ludziom przyjemne poczucie wolności. Doznałam nieopisanego radości i nie zważając na porę, a była godzina 21.00, wpadłam na pomysł, by w sobotni wieczór zadośćuczynić swojemu apetytowi na knedle śliwkowe. Ugotowałam ziemniaki, przygotowałam ciasto i jeszcze przed północą knedle pływały w kwaśnej śmietanie z cukrem.

Kolejnym zachwycającym śremskim doświadczeniem był zapach i smak czarnego, wojskowego chleba. Piekarnia ukryta była w małym domku, blisko wylotu ulicy Wiosny Ludów. Weszłam do budynku i zobaczyłam regały wypełnione gorącym, czarnym chlebem. „Ależ żołnierze mają wspinały wikt!” – skomentowałam.

Kulig na Wójtostwie, 1970 r. Woźnica p. Ulatowski, obok niego Maria Berezowska-Kaniewska. Fot. ze zbiorów autorki



„Cywile takich rarytasów nie widzą”. Piekarz, z podejrzanym uśmiechem pouczył mnie, iż taki chleb trafia na stoły żołnierskie dopiero po dwóch tygodniach... dla ich zdrowia! Od czasu do czasu bochenki gorącego chleba trafiały i na nasz stół. Zapraszałam wówczas sąsiadów na grube pajdy chleba z warstwą świeżutkiego masła, z twarogiem i cebulą, i czasem z miodem.

Biuro kierownika laboratorium Wojciecha Kaniewskiego, kierownika działu doświadczalnego pana Banachowicza, kierownika działu gospodarstwa pana Szukalskiego oraz asystentów mieściły się w pobliżu pomieszczeń laboratoryjnych. Przyjemnym polskim obyczajem, wspólnie obchodziliśmy imieniny wszystkich pracowników. Zachwycające wypieki mobilizowały do wymiany przepisów kulinarnych. To właśnie w Śremie założyłam pierwszy w życiu notatnik *Przepisy kulinarne*. Uzupełniany tylko sprawdzonymi przepisami, służy mi do dnia dzisiejszego i tak

powstały pierwsze wpisy: chruściki pani Mirki Karczewskiej, tort z kiślu pani Baumowej, czy babka pani Ulatowskiej.

W budynku laboratoryjnym pachniało suszonymi roślinami, które do analiz przysyłano z obszaru całej Polski. Skrupulatnie rejestrowała je pani Mirka Karczewska. Analizowaliśmy zawartość suchej masy, włókniaka, cukru, tłuszczu, białka i azotu. Przy tej okazji poznawaliśmy wartości różnych roślin uprawnych, o których nieraz tylko słyszeliśmy lub czytaliśmy. Zaskoczeniem dla mnie był fakt, że w Polsce uprawiano trzy odmiany białego maku. Słyszałam od mojej Babci, że przed drugą wojną światową można było taki mak kupić w Poznaniu. Służył do wypieku rogali Św. Marcina. Hurra! Odkrycie białego maku zmobilizowało mnie do korzystania z książki kucharskiej, którą podarowała mi moja Babcia – Maria Berezowska. Autorkami tej książki były Melania Śliwińska i Róża Rejman, profesorki szkoły

Kulig, 1970 r. Na pierwszym miejscu Rozalia Ulatowska, której mąż dowodził końmi. W drugim rzędzie: w środku Maria Berezowska-Kaniewska, obok pan Banachowicz, mieszkaniec Dolska, kierownik Działu Doświadczalnego WSDOO. Fot. ze zbiorów autorki



gospodarczej. Po wykorzystaniu próbek białego maku do analiz, pozostałość przeznaczałam do wypieku wymarzonego tortu przekładanego masą migdałową. Pyszność!

W okresie żniw, zarządzeniem dyrekcji WSDOO, pracownicy wszystkich działów zwalniani byli z codziennych obowiązków służbowych na rzecz pomocy w żniwach. Nigdy takich prac nie wykonywałam, nie miałam doświadczenia. Po dniu znoej pracy wracaliśmy pokłuci żdźbłami zboża, obolali, spaleni słońcem.

Innym doświadczeniem były dożynki celebrowane w WSDOO. Dyrektor zapraszał pracowników do świetlicy i... przemawiał. Zaskoczeniem dla mnie był fakt, że Dyrektor nie używał formy zwracania się do pracowników Działu Gospodarczego per „pani”, „pan”, lecz per „ty” lub „wy”. Oburzało mnie to zachowanie, odbierałam je jako brak szacunku wobec pracowników polowych, jak i ich rodzin. Okazało się, że taka forma była w zwyczaju środowiska, jak i fakt, iż każdy pracownik WSDOO otrzymywał dożynkowy przydział 1 kg kiełbasy oraz jednej półlitrowej butelki wódki.

Z zachwytem, do dnia dzisiejszego, wspominam kuligi i przejażdżki saniami po zasypanych śniegiem drogach okolic Śremu-Wójtostwa, które organizował mój mąż.

W piątki, po zakończonej pracy, wyruszyliśmy autobusem do Poznania, by powracać w poniedziałki, raniutko. Wczesne budzenie, zimowe podróże autobusami, dla których punktualność nie istniała, wszystko to zmobilizowało nas do zakupu trabanta. Kolejka oczekiwania, niepewność dostaw w Polmozybtach i wreszcie zawiadomienie o odbiorze. Trudno określić co człowiek czuje przy odbiorze długo wyczekiwanego, pierwszego samochodu: białego trabanta. W takich okolicznościach człowiek godzi się na długotrwałe zawiłe procedury. Mąż uczył mnie cierpliwie prowadzenia samochodu wzdłuż ulicy Wiosny Ludów, ale i tak po tygodniu wjechałam niemal czołowo w kamienny kwietnik przed WSDOO. Odbyłam półroczny kurs nauki jazdy, zdałam egzaminy z budowy silnika i przepisów ruchu drogowego, otrzymałam wymarzone prawo jaz-

dy. Teraz skutecznie omijam kamienne donice z pelargoniami, doświadczona wieloletnim pokonywaniem amerykańskich autostrad.

Te pierwsze moje doświadczenia, oderwania od domu rodzinnego, kontakt z zupełnie nowym środowiskiem i stylem życia w przyszłości zaowocowały. Pozwoliły mi na łagodniejsze podejście do odmienności kulturowych i lokalnych zwyczajów, których w mini dawce doświadczyłam w Śremie. Owo, tak pozytywne doświadczenie życiowe, można przyrównać do uodpornienia organizmu przez właściwe szczepienie ochronne. Nasza, męża i moja, śremska przygoda trwała do końca lutego 1972 roku. Ale nadal Śrem wita nas i odżywa w różnych okresach życia, w różnych formach. Planowaliśmy wycieczki sentymentalne, odwiedzaliśmy WSDOO. I tak pewnego wieczoru, kilka lat temu, podczas jednego ze spotkań lekarzy malujących Wielkopolskiej Izby Lekarskiej w Poznaniu, dokąd zaprosiła mnie doktor Katarzyna Dylewicz, gdzie działa także moja siostra – malarka, Aleksandra Berezowska, na jednym ze stolików zauważyłam foldery śremskie! Podskoczyłam z wrażenia, zapytałam o nie i... taka jedna lekarka, doktor Barbara Siwińska... zapadła w nasze serca, do dnia dzisiejszego.

Ciekawe są koleje życia. Każde wydarzenie tworzy ogniwo łańcuszka naszego życia. Materiał, z jakiego uformujemy ten łańcuszek zależy od naszych wyborów życiowych, złoty, srebrny, solidny, słaby, długi, krótki, równiutki czy poplątany. Dodam, że projektowanie delikatnej biżuterii to moje dodatkowe hobby. Ale o tym to już innym razem.

Z wielką przyjemnością powspominałam Śrem.

Leszek MAŃKOWSKI

Pomnik. Część 2

Z pamiętnika starego

Przystępując do budowy pomnika ks. Piotra Wawrzyniaka ustaliliśmy, że jego odsłonięcie powinno nastąpić w 150. rocznicę powstania Spółdzielczego Banku Ludowego; śremskiego banku, którym kierował Ksiądz Patron.

11 marca 2000 r. o godz. 11 rozpoczęła się w Fardze msza św. Koncelebrowali ją, wraz z abp. Metropolita Poznańskim Juliuszem Paetzem, proboszczowie śremskich parafii oraz księża

z dekanatu śremskiego. Przybyło wielu mieszkańców miasta, były liczne poczty sztandarowe. Oprawa muzyczna była dziełem Orkiestry Dętej Towarzystwa Muzycznego im. Mariana Zielińskiego w Śremie pod dyрекcją Michała Ratajczaka oraz połączonych śremskich chórów: Chóru parafii fardnej pw. św. Cecylii pod dyрекcją Ryszarda Zielińskiego i Chóru „Moniuszko” pod dyрекcją Jerzego Andrzejczaka.

Przemarsz



Po mszy uformował się pochód, który wyruszył sprzed kościoła ulicą ks. Piotra Wawrzyniaka. Przed historyczną siedzibą Spółdzielczego Banku Ludowego, pod tablicą upamiętniającą ks. Piotra Wawrzyniaka, Wojewoda Wielkopolski Maciej Musiał złożył wiązanek kwiatów. Natępnie uczestnicy wydarzenia przemaszerowali pod wodzą orkiestry – przez Plac 20 Października, ul. Seweryna Matuszewskiego, most 23 stycznia (obecnie most Daniela Kęszyckiego), ul. Jana Kilińskiego – na plac przed kościołem Najświętszego Serca Jezusa.

Otwarcia uroczystości przy pomniku dokonał Krzysztof Łożyński – prezes Zarządu Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie. Przedstawił postać księdza Piotra Wawrzyniaka i ideę budowy pomnika oraz powstania Towarzystwa; podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do zrealizowania takiego upamiętnienia Króla Czynu.

Odsłonięcia pomnika dokonali Wojewoda Wielkopolski – Maciej Musiał, członek Zarządu Narodowego Banku Polskiego – Waldemar Szostak, Burmistrz Miasta Śrem – Marek Basaj, prezes Zarządu Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie – Krzysztof Łożyński. Pomnik został poświęcony przez Metropolitę Poznańskiego w asyście dziekana dekanatu śremskiego, proboszcza Parafii pw. NMP Wniebowziętej w Śremie – ks. kanonika Mariana Bruckiego.

Krzysztof Łożyński wręczył statuetki-miniatury pomnika przyznane osobom, które objęły patronat honorowy nad budową pomnika ks. Wawrzyniaka: prezes Narodowego Banku Polskiego Hannie Gronkiewicz-Waltz, wojewodzie Maciejowi Musiałowi oraz abp. Juliuszowi Paetzowi. Statuetki otrzymali także: główni sponsorzy – fundatorzy pomnika: Telekomunikacja Polska S.A., Spółdzielczy Bank Ludowy im. Księdza P. Wawrzyniaka, gmina Śrem, Narodowy Bank

Uczestnicy uroczystości



Polski, Odlewnia Żeliwa „Śrem” S.A., Gospodarczy Bank Wielkopolski S.A.

Dalszy ciąg uroczystości miał miejsce w murach świątyni pw. Najświętszego Serca Jezusa. W górnym kościele zgromadzeni wysłuchali koncertu w wykonaniu śpiewaczki Grażyny Plucińskiej-Panfil oraz chóru Śremskiego Ośrodka Kultury pod dyрекcją Macieja Paterczyka. W dolnych salkach zwiedzano wystawy. Muzeum Śremskie zaprezentowało pamiątki, dokumenty, fotografie związane z życiem i pracą ks. Piotra Wawrzyniaka. Włodzimierz Bobrowski przygotował wystawę filatelistyczną, na której znalazły się wydane przez Poczta Polską: okolicznościowy datownik oraz kartki pocztowe upamiętniające odsłonięcie w Śremie pomnika ks. Piotra Wawrzyniaka.

Ostatnim akcentem niezwykle wydarzenia były podziękowania dla sponsorów i osób, które przyczyniły się do wybudowania pomnika. Towarzystwo im. Księdza Piotra Wawrzyniaka w Śremie uhonorowało pamiątkowymi medalami gminę Mogilno, Spółdzielczy Bank Ludowy w Poznaniu, Powszechną Spółdzielnię Spożywców „Społem” w Śremie, Spółdzielnię Inwalidów „Warta” w Śremie, Związek Rewizyjny Banków Spółdzielczych w Poznaniu, Bank Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, firmę Beton-Dróg Zdzisław Wietrzykowski oraz geodetę Tadeusza Marcinkowskiego.

Uroczystości 11 marca 2000 r. przebiegały zgodnie ze scenariuszem. Jednak nie dało się przewidzieć aż tak złej pogody: śnieg, deszcz, wiatr, zimno. Mimo to przyszło wielu ludzi. Śmiałkowicie maszerowali w pochodzie przez miasto, mokli wytrwale wokół pomnika, a doschnąć próbowali w chłodnym kościele. I ja tam byłem...

Fot. z archiwum Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie



Odsłonięcie pomnika. Na zdjęciu: Krzysztof Łożyński, Waldemar Szostak, Maciej Musiał

Michał LORENC

Zagłębienia wytopiskowe – polodowcowe „perełki”

Na tropach lodowca... Część 8

Wcześniejsze artykuły z cyklu *Na tropach lodowca po ziemi śremskiej* przybliżały zazwyczaj duże i rozległe formy polodowcowej rzeźby terenu. Były wśród nich rynny polodowcowe, pradolina, ozy, kemy, moreny czołowe, wysoczyzny polodowcowe. Jednak ładolód pozostawił po sobie również znacznie mniejsze, ale bardzo czytelne w terenie formy. Należą do nich zagłębienia wytopiskowe. Zanim się im przyjrzymy, przypomnijmy krótko głównego bohatera tego cyklu artykułów, czyli ładolód skandynawski, który naszym znakomity rzeźbiarz kształtował teren ziemi śremskiej, pozostawiając po sobie rzeźbę polodowcową.

Jak zapewne pamiętamy, ładolód to szczególnie typ lodowca, który pokrywa znaczną powierzchnię kontynentu, posiadając grubość sięgającą kilku kilometrów i tworząc zwartą, zwykle lekko wypukłą tarczę lodową rozplywającą się na wszystkie strony (lód może płynąć). Ładolód, który jest głównym bohaterem tego cyklu arty-

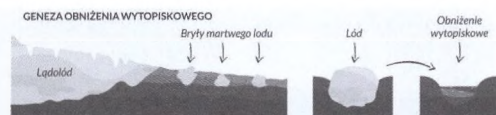
kułów, powstał w północnej Skandynawii około 25 000 lat temu, zatem u schyłku epoki lodowcowej (plejstocenu). Był to kolejny, ale już ostatni ładolód jaki powstał w tej epoce. Szybko zwiększał swoje rozmiary – zarówno grubość jak i zasięg, pokrywając znaczną część kontynentu. Nieco ponad 20 000 lat temu dotarł do ziemi śremskiej. W ten sposób okolica Śreму znalazła się pod warstwą lodu o imponującej grubości, którą szacuje się na minimum 250 metrów, ale mogła ona sięgać nawet 650 metrów. Średnia wartość to zatem około 450 metrów. To więcej niż cztery boiska piłkarskie ustawione w pionie, jedno na drugim. Średnia temperatura lipca przy powierzchni lodu wynosiła wówczas w rejonie Śreму około +5°C (obecnie wynosi około +18°C), a średnia stycznia mogła spadać do przerażających -25°C (obecnie wynosi około -4°C). Nastąpiły warunki i krajobraz, jakie obecnie panują na Grenlandii i Antarktydzie, czyli na dwóch współczesnych ładolodach. Po zajęciu ziemi śremskiej ładolód płynął dalej na południe. Jak

Fot. 1. Oczko polodowcowe we wsi Maliny koło Rusocina



pamiętamy, około 20 000 lat temu zatrzymał się w okolicach Dolska, a położenie jego czoła ustabilizowało się na linii Dolsk–Leszno–Zielona Góra, osiągając w ten sposób najdalej na południe położone obszary nie tylko w Polsce, ale w całej Europie! Jednak już nieznacznie później, w wyniku postępującego ocieplenia klimatu, lądolód zaczął się intensywnie wytapiać, uwalniając spod swego lodowego cielska coraz większe obszary. Z otoczenia Śremu lądolód mógł ustąpić około 19500 lat temu. Był to czas szczególnie istotny dla tworzącej się wówczas rzeźby polodowcowej, gdyż to właśnie okres topnienia lądolodu jest najbardziej „rzeźbotwórczy”.

Zanik lądolodu na ziemi śremskiej przyniósł również powstanie tytułowych zagłębień wytopiskowych. Czym one są? Otóż wycofujący się lądolód często pozostawiał po sobie potężne bryły lodowe. To tzw. bryły martwego lodu. Określenie „martwego” wskazuje, że jako oderwane od lądolodu, bryły te nie były już z nim związane, lecz bezpowrotnie pozostawione przez wycofujący się lądolód. Grzęzły one na przedpolu lądolodu w miękkim, silnie nawodnionym podłożu. Jak zapewne pamiętamy, było to podłoże gliniaste – pokryte warstwą gliny lodowcowej, która



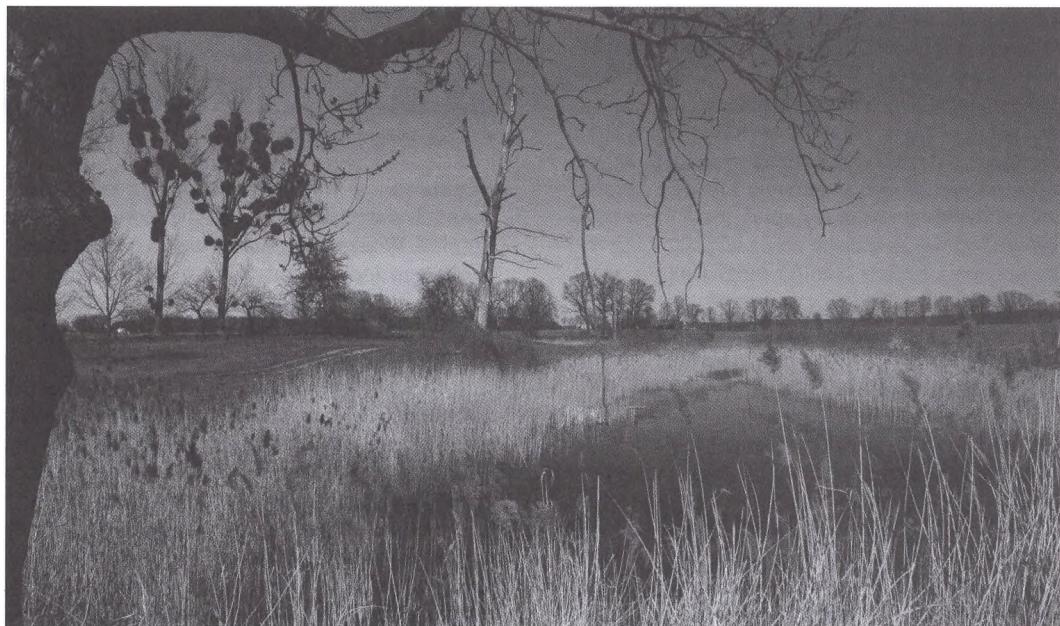
Rys. Zagłębień wytopiskowe

powstawała w wyniku wytopienia z lodu różnorodnych ziaren skalnych transportowanych przez lądolód. W tak miękkim i grzaskim podłożu bryły martwego lodu ulegały nawet całkowitemu zagrzebaniu. W ten sposób rozpoczynała się długa historia ich zaniku – wytapiania.

Zagrzebanie brył martwego lodu sprawiało, że były one odizolowane od ciepła promieniowania słonecznego. Ponadto, przez kilka tysięcy lat po ustąpieniu lądolodu z ziemi śremskiej, klimat nadal był zimny, zwykle subarktyczny. Przez znaczną część tego czasu podłoże było trwale zamrożone do głębokości wielu metrów, czyli panowała wieczna zmarzlina. W takich warunkach zagrzebane bryły martwego lądolodu, niczym zakonserwowane, zalegały w podłożu nawet kilka tysięcy lat. W końcu jednak wszystkie uległy wytapieniu w wyniku postępującego ocieplenia klimatu, a ich zanik nie pozostał bez śladu. W podłożu powstały bowiem pustki po

Fot. 2. Oczko polodowcowe koto Błazejewa





Fot. 3. Oczka polodowcowe koło Rusocina

bryłach martwego lodu – zagłębienia o stromych zboczach, owalnym kształcie i zazwyczaj nieznacznej powierzchni. Są to zagłębienia wytopiskowe (rysunek). Już w trakcie wytapiania brył martwego lodu stoki zagłębień, pozbawione lodowego oparcia osuwały się, nadając stopniowo ostateczny kształt zagłębieniom. Sprzyjało temu jednocześnie ustępowanie wiecznej zmarzliny, dzięki czemu podłoże stawało się miękkie, podlegając różnorodnym deformacjom. Znaczna część zagłębień wypełniała się wodą, tworząc tzw. oczka polodowcowe, zwane też oczkami wytopiskowymi. Większe z nich to jeziora wytopiskowe. Ich obecność jest charakterystyczna dla młodej rzeźby polodowcowej, zatem rzeźby młodoglacjalnej stworzonej przez ostatni lądolód, która zdobi ziemię śremską. Dzieje się tak, gdyż zagłębienia wytopiskowe jako obiekty relatywnie małe, dość szybko w sposób naturalny zanikają (w kilka, kilkanaście tysięcy lat), więc na obszarach zlodowaconych w bardziej odległych okresach czasu, zazwyczajnie już ich nie ma lub są bardzo nieliczne. Przykładem jest środkowa i południowa Polska, która nie została objęta zasięgiem ostatniego lądolodu.

Równie ciekawa jak powstanie, jest późniejsza, zatem polodowcowa historia zagłębień wytopiskowych. Następujące w kolejnych tysiącletniach stopniowe ocieplenie klimatu przyniosło rozwój roślinności. W ślad za nią pojawiały się zwierzęta. W podmokłych zagłębieniach wytopiskowych i w wypełniających je oczkach polodowcowych zaczęły się zatem gromadzić szczątki roślinne, w mniejszym stopniu zwierzęce, zatem warstwy osadów organogenicznych, np. torf i muł. Powodowały one postępujące spływanie oczek polodowcowych, w rezultacie ich zarastanie przez roślinność wodną, szuwarową, a ostatecznie łądową, prowadząc do ich zaniku. Na drodze takich przemian zatarciu w rzeźbie terenu ulegały ostatecznie także zagłębienia wytopiskowe. Szacuje się, że zdecydowana większość tego typu zagłębień pozostawionych przez ostatni lądolód już zanikła w ten sposób. Natomiast wypełniające je osady pochodzenia organicznego, zawierające różnorodne szczątki roślinne i zwierzęce, stanowią znakomity zapis ewolucji klimatu i przyrody ożywionej na przestrzeni ostatnich kilkunastu tysięcy lat. Są niczym księga, w której warstwa po warstwie, niczym strona po stronie, zapisana została historia środowiska przyrodniczego.



Fot. 4. Oczko polodowcowe w Przylepkach

Jednak znaczna część zagłębień wytopiskowych, często nadal wypełnionych wodą, przetrwała na ziemi śremskiej do dnia dzisiejszego! Zazwyczaj posiadają one owalny zarys, małą powierzchnię, ale dzięki swym silnie nachylonym zboczom głębokość kilku, a nawet kilkunastu metrów. Z pewnością każdy z Czytelników zna tego typu zagłębienia, szczególnie te z oczkami wytopiskowymi. Często jakże urokliwe (Fot. 1-4). Zapewne wytopiskową genezę posiada zagłębienie terenu, w którym znajduje się oczko wodne w Miejskim Parku Ekologicznym im. Włodzimierza Puchalskiego w Śremie. Zbiornik ten wypełnia wyłącznie najniższej położoną część owalnego obniżenia, którego dno znajduje się kilkanaście metrów poniżej otoczenia, np. szpitala powiatowego lub zabudowań jednostki wojskowej. Zbiornik ten posiada długość rzędu 200, a szerokość 100 metrów. W przeszłości był znacznie większy, ale właśnie wspomniane stopniowe spłykanie i zarastanie jego brzegów przez roślinność, ciągle prowadzi do redukcji powierzchni lustra wody. Wytopienie innej bryły martwego lodu miało zapewne wpływ na powstanie Jeziora Gajewskiego koło wsi Gaj. Również ono znajduje się w głębokim, owalnym obniżeniu terenu, którego dno znajduje się kilkanaście metrów poniżej otoczenia. Głębokość je-

ziora jest oczywiście znacznie mniejsza, gdyż wypełnia ono wyłącznie najgłębszą część zagłębienia terenu. Długość jeziora sięga 300, a szerokość 130 metrów (Fot. 5). Również ono podlega dość szybkiemu zarastaniu przez roślinność. Warto dodać, że bryły martwego lodu często zalegały w dnach rynien polodowcowych, w których jak pamiętamy powstawały jeziora rynnowe. To właśnie wytopienie pogrzebanego lodu w dnach tych rynien nadawało jeziorom rynnowym ich ostateczną formę, a najgłębsze strefy tych jezior to zazwyczaj obniżenia podłoża po bryłach martwego lodu.

Zatem znaczna część śródpolnych i śródleśnych oczek wodnych na ziemi śremskiej wypełnia zagłębienia wytopiskowe po martwym lodzie. Choć są to obiekty zazwyczaj nieznacznych rozmiarów, posiadają bardzo istotne znaczenie krajobrazowe, przyrodnicze, a nawet gospodarcze. Szczególnie w krajobrazie rolniczym. Śródpolne oczka wodne, zazwyczaj otoczone roślinnością szuwarową, krzewami i drzewami, niejednokrotnie stanowią jedyne urozmaicenie monotonnego krajobrazu rozległych pól uprawnych. Mało tego, są naturalnymi rezerwuarami wody tam, gdzie jest ona szczególnie istotna – na polach. Ta retencyjna funkcja śródpolnych zagłębień wyto-

piskowych nabiera ogromnego znaczenia w obliczu nasilającego się problemu przesuszenia gleb. Co więcej, krzewy i drzewa porastające brzegi śródpolnych oczek wodnych gromadzą wilgoć wokół swych systemów korzeniowych, rzucają cień na powierzchnię pól, co dodatkowo sprzyja zachowaniu wilgoci w glebie. Ponadto, owe krzewy i drzewa zmniejszają prędkość wiatru, również w ten sposób ograniczając wysuszenie gleby, oraz wywiewanie jej cząstek z pól. Jak by tego było mało, śródpolne oczka wytopiskowe to niejednokrotnie prawdziwe oazy życia w krajobrazie rolniczym. Miejsce schronienia i rozmnażania zaskakująco dużej różnorodności zwierząt, w tym naturalnych sprzymierzeńców rolnika w walce ze szkodnikami upraw rolniczych. Natomiast obecność wypełnionych wodą zagłębień wytopiskowych w lasach oznacza choćby wzrost ich bioróżnorodności. Z kolei na terenach zurbanizowanych stanowią one często istotny walor krajobrazowy, przyrodniczy, rekreacyjny parków miejskich, jak ma to miejsce w Śremie. Tytułowe określenie „perełki”, w odniesieniu do wypełnionych wodą zagłębień wytopiskowych, jest zatem uzasadnione. Tym bardziej że, jak wspomniano, większość z nich już zanikła. Niestety, nie tylko na drodze naturalnego zarastania, ale niejednokrotnie w rezultacie celowego zasypania lub zdewastowania w inny sposób przez nierozważne i pochojne działania człowieka.

Będąc w najbliższym czasie w terenie, spotykając na swej drodze śródleśne lub śródpolne oczko wodne, cofnijmy się w wyobraźni kilkanaście tysięcy lat wstecz i oczami owej wyobraźni zobaczmy zalegającą jego miejscu potężną bryłę lodu, pozostawioną przez wytapiający się lądolód. Bryłę lodu, być może wielkości śremskiego ratusza, która tylko w niewielkiej części wystaje ponad powierzchnię terenu i stopniowo się wytapia tworząc zagłębienie wytopiskowe, a w nim przyszłe śródleśne lub śródpolne oczko wodne – przyrodniczą „perełkę”. Kolejny trop lądolodu na ziemi śremskiej.

W kolejnym artykule cyklu *Na tropach lodowca po ziemi śremskiej* zainteresujemy się sandrami, a szczególnie stożkami sandrowymi będącymi dziełem potężnych rzek podlodowcowych. Co prawda, nie ma ich wiele na ziemi śremskiej, ale ponieważ znajdują się w repertuarze rzeźbiarskiej twórczości lądolodu, nie może ich zabraknąć w tym cyklu artykułów.

Rysunek i fotografie Michał Lorenc

Fot. 5. Jezioro Gajewskie



Leszek MAŃKOWSKI

Tradycjonalni?

Jestem, więc pytam

Interesuje nas postępowanie innych ludzi. Oceniamy. Bywa, że pochwalamy. Bywa, że ganimy. Krytykujemy sposób i efekty działania, wyrażamy swój sprzeciw. Wszak belka w mym oku nie przeszkadza w zauważeniu żdźbła w oku brata mego.

Czy interesują nas przyczyny takich, a nie innych zachowań? Czy ocenialibyśmy inaczej, gdybyśmy znali motywacje kierujące ludźmi? Chcemy, by inni przyjmowali nasz punkt widzenia, akceptowali (przynajmniej rozumieli) to, co i jak robimy. A czy my wiemy, rozumiemy, dlaczego sami postępujemy w określony sposób? Jak często usprawiedliwiamy – wobec innych, wobec siebie – niepożądane skutki własnych zachowań? Usprawiedliwiamy tym, że intencje były dobre, tylko coś poszło nie tak, jak powinno. Wskazujemy „coś”, co stanęło nam na przeszkodzie. Wiemy, czym to „coś” jest naprawdę? Skoro oczekujemy zrozumienia, to – staramy się zrozumieć innych? Jeśli znam motywację innych, mogę zrozumieć... Zrozumienie nie musi być akceptacją. A czy nie może być usprawiedliwieniem?

Trudno zrozumieć drugiego człowieka. Czy jest to możliwe? Spróbujmy więc zacząć od siebie. Co kieruje naszymi działaniami? Wśród wielu czynników, które na te działania wpływają, znaczące miejsce zajmuje tradycja. Mówiąc o tradycji, zwykle myślimy o jakichś konkretnych obyczajach i zachowaniach powtarzanych rutynowo przy tej samej okazji zgodnie z planem, a nawet ze szczegółowym scenariuszem. Jednak w szerszym znaczeniu tradycja to przekazywane z pokolenia na pokolenie treści kultury uznawane przez społeczność za ważne dla jej przeszłości i współczesności oraz warte kultywowania lub

przynajmniej znajomości w przyszłości. Obejmuje świadomość historyczną, normy społeczne, wierzenia, obyczaje, rytuały, poglądy, a nawet sposoby myślenia i zachowania – istotne bądź to dla rodziny czy społeczności lokalnej, bądź dla narodu lub ponadnarodowej wspólnoty (np. religijnej). Tworzymy sobie wizerunek naszej wspólnoty, który wykorzystujemy na przykład dla odróżnienia od „innych”. Tradycja jest w ten sposób utwierdzeniem naszej tożsamości. Daje poczucie zbiorowego zakorzenienia, wskazuje na to, co wspólne, jednoczące. Umożliwia poczucie pewnej stabilizacji.

Wielu ludzi powiela wyniesione z domu rytuały świąteczne, sposoby obchodzenia ważnych rodzinnych wydarzeń, czy spędzania czasu wolnego. Ilu z nich stosuje wyniesione z domu „sprawdzone wzorce” wychowywania dzieci? A ilu odruchowo niemal, bardzo prosto tłumaczy własne zachowania tym, że przecież tak zostali wychowani, tacy są i nie widzą powodu robić inaczej, bo u nich w domu zawsze tak było?

Jak było, tak teraz i zawsze, i na wieki? Czy jesteśmy trwale przywiązani do tradycji? Czy tradycyjny, przyswojony sposób działania będzie skuteczny, gdy napotkamy nowy, nieznany problem? W zmieniającym się świecie kolejne pokolenia wprowadzają do zastanych zmian wynikające z bieżących realiów, z własnych upodobań, z nowych możliwości. Przecież, doceniając wartość rodzinnego obiadu, chyba nikt nie będzie już zachęcał do jedzenia ze wspólnej misy... Promowane są nowe obyczaje – czy zawsze dobre? Tradycją sportowego kibica ma się stać (już się stało?) oglądanie meczu w towarzystwie czteropaku?

Staleność

Pewnie jednak łatwiej nam uwspółcześniać tradycje tam, gdzie posługujemy się przedmiotami, nowo wynalezionym sprzętem, czy różnymi gadżetami. Gorzej, gdy dotyczy to naszych zachowań, postępowania w określonych sytuacjach. Jest trudniej, bo konieczny jest tu nasz mniejszy, czy większy wysiłek? Czy niechęć do takiego wysiłku jest powodem kultywowania także niedobrych tradycji?

Lubimy tradycje. Lubimy te, które miłe są dla ducha i ciała. Te, co jakby z kiczowatego, pełnego kolorów obrazka były wzięte. A inne? Tak, cał-

kiem dobrze mają się te tradycje, do których rzadko się przyznajemy. Tumiwizizm, bylejałość, lekceważenie obowiązków. Odporność na wiedzę, wiara w mity i wygodne kłamstwa. Pochwała cwaniactwa, pogarda dla prawa. Cierpiętnictwo, narzekanie, zawiść. Olewanie i oblewanie. Homofobia i nietolerancja... To nie nasze? To nie my? Nietolerancja – jak to? Grzmiał mówca z wysokości swego urzędu. Mówił, że tolerancja jest w polskim DNA, że przez wieki dawaliśmy wiele świadectw tolerancji, że nikt nas tolerancji nie musi uczyć. Czy chodzi tu też o tolerancję dla kłamstwa i umysłowego ubóstwa?

W Soplicowie



Tolerancję dla obojętności? Dla nacjonalizmu i przemocy? Przemocy domowej? Czy taka tolerancyjność nie jest też częścią naszej tradycji?

Dlaczego przyklaskujemy hipokrytom, oszustom, cwaniakom? Czy to tylko tolerancja, czy – akceptacja, afirmacja?

Rekonstrukcje, odtwórcy historii, grupy rekonstrukcyjne mają zadbać o naszą historię i tradycję. Czy jednak nie dokonujemy takich historycznych rekonstrukcji w odniesieniu do własnego sposobu postępowania? Odtwarzamy jota w jotę to, co może sprawdzało się w zupełnie innych realiach? Wiemy, dlaczego nie musi przystawać do naszego tu i teraz? Odróżniamy rekonstrukcję od modernizacji?

Lubimy parki krajobrazowe, skanseny, muzea etnograficzne. Lubimy obrzędy, rytuały – świąteczne, okazjonalne, codzienne. A czy chcemy żyć w skansenach? Dlaczego uczymy dzieci świata, który odszedł? Edukujemy dla historii czy przyszłości? Uczymy dokonywania wyborów w skomplikowanej (niejednoznacznej) rzeczywistości czy naśladownictwa, życia według jedynie słusznych (acz może już zwietrzałych) recept? Czy mogą istnieć skuteczne recepty na życie, skoro tak naprawdę nie wiemy jaki będzie ten przyszły świat? Chcemy zamknąć się w skansenie? Zamknąć przecież nie tylko siebie, również kolejne pokolenia...

Jesteśmy historycznymi rekonstruktorami? Mamy do tego prawo?

Nasiąkamy tradycjami od najmłodszych lat, chłoniemy je także w dorosłym życiu. Czy można

osiągnąć taki stan nasycenia, by nie móc już przyswajać nowych treści? Chcemy się zmieniać? Co może być motywacją?

Twardy tradycjonalizm (obyczajowy, religijny) może skutkować zamykaniem się na ludzi o innych niż nasze poglądach, na obcych, odrzucaniem wszelkich zmian. Czy taka postawa nie prowadzi do ograniczania własnych zdolności poznawczych?

To samo możemy pewnie „osiągnąć” odrzucając wszelką tradycję w imię różnie rozumianej nowoczesności. Jednak między skrajnościami pozostaje sporo miejsca dla umiejętnego połączenia tradycji z nowoczesnością. Ale, czy ta przestrzeń swoistej „kohabitacji” nie zawęży się tak, jak to się dzieje w innych dziedzinach naszego życia społecznego? Czy biorą górę wyraziste podziały?

Naturalnym jest, że z powodu różnic w preferowanych przez siebie wartościach, ludzie są bardziej nastawieni albo na historię, tradycję i przeszłość, albo na przyszłość, zmiany i innowacje. Tradycja i nowoczesność – obie są cenne i ważne. Chociaż mogą być w kontrze do siebie, to mogą się także wzajemnie uzupełniać.

W zmieniającym się świecie kolejne pokolenia wprowadzają do zastanych tradycji zmiany wynikające z bieżących realiów, z własnych upodobań, z nowych możliwości. Tak robią na świecie. A my?

Nikt nas nie będzie uczył?

Adam LEWANDOWSKI

Nagrody literackie 2020

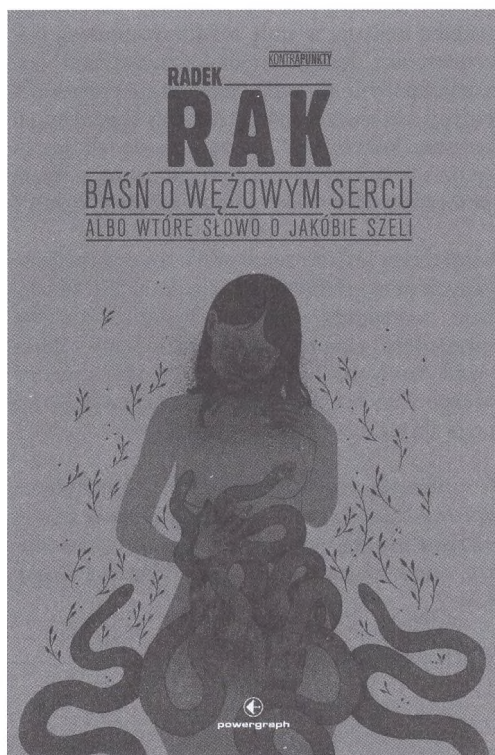
Warto przypomnieć

Emocje rosły z dnia na dzień. Ostatnie tygodnie poświęciłem poznaniu wszystkich kandydatów i ich dzieł. Już przygotowuję się do zakupu książek nominowanych do nagrody Nike 2020. Księgarnia, w której kupuję corocznie nominowane książki, jest na to przygotowana. Dlaczego wybór zwycięzcy jest tak ważny? Bo to współczesna, niezależna literatura. Nie wpisuje się w trendy historyczne, czy polityczne, a warunkiem nomi-

nacji jest oryginalność i niesablonowa fabuła. W finale Nike 2020 znalazły się dwie powieści, dwa eseje, dwie książki reporterskie i biografia. Finałiści nagrody to: Joanna Gierak-Onoszko – *27 śmierci Toby'ego Obeda*, Filip Zawada – *Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek*, Radek Rak – *Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakobie Szeli*, Paweł Piotr Reszka – *Pluczeki*, Monika Sznajderman – *Pusty las*, Piotr M. Majewski – *Kiedy wybuchnie wojna? 1938. Studium kryzysu*, Agnieszka Dauksza – *Jaremianka*. Mamy tematykę historyczną, biograficzną, powojenną i starszą, piękne eseje. Serdecznie polecam lekturę wszystkich nominowanych książek, a szczególnie tych, które można określić mianem powieści.

Wybór zwycięzcy był w rękach szanownego jury, któremu szefuje Paweł Próchniak. W tym roku w jury Literackiej Nagrody Nike zasiedli: przewodniczący Paweł Próchniak, Teresa Bogucka, Agata Dowgird, Maryla Hopfinger, Dariusz Kosiński, Iwona Kurz, Anna Nasitowska, Magdalena Piekara, oraz Szymon Rudnicki. Zwycięzca otrzymał 100 tys. zł i statuetkę projektu Gustawa Zemły. Ważny był również wybór książki i przyznanie nagrody Nike Czytelników – zawsze chcę wiedzieć co czytają ludzie. Jeszcze nie przeczytałem powieści, która zdominowała tegoroczną gałą Nike 2020! Brak czasu, a i dostęp w księgarniach ograniczony.

Laureatem Nagrody Nike został w tym roku Radek Rak. Konkursowe jury doceniło w tym roku książkę z gatunku powieść. To historia o Jakobie Szeli, przywódcy powstania chłopów przeciwko szlachcie. W swojej książce Radek Rak próbuje na nowo stworzyć mitologię Galicji. Czytelnicy wędrują przez krainę baśni, zawieszeni między



historią a mitem. Dobro i zło, nierówne szanse, Galicja i Polska. *Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli* jest powieścią pełną erotyzmu, ironii i humoru, spowitą jednak mrokiem wprost z ludzkich serc.

„Jego książka to klechda i jak każda klechda jest triumfem wyobraźni i dotyka twardej rzeczywistości, prawdziwego świata. Snuje historię nie z tej ziemi i jednocześnie opowiada o czymś, co drzemie w realnej historii, w naszej wspólnej podświadomości, w podglebiu języka, którym mówimy” – mówił podczas gali o książce Raka Paweł Próchniak, przewodniczący jury Nagrody Literackiej Nike. „Radek Rak świetnie panuje nad słowem, nad różnymi tonacjami polszczyzny, nad jej możliwościami, nad tym, co żyje pośród słów, w przydźwiękach i echach – prawie niesłyszalne. *Baśń o węzowym sercu* jest świadomie staroświecka i zarazem nowocześnie groteskowa” – dodał.

Pochodzący z Dębicy Radek Rak jest z zawodu weterynarzem. „Jestem zaszczycony” – powiedział, odbierając nagrodę i dziękując osobom, które przyczyniły się do powstania książki.

Jeszcze większym zaskoczeniem było ogłoszenie laureatki Nagrody Nobla 2020 w kategorii literatury. Bardzo się ucieszyłem, że laureatka jest poetką – bo przecież od czasu Wisławy Szymborskiej i Boba Dylana pomijano poezję.

Louise Glück urodziła się w Nowym Jorku w 1943 r., dorastała na Long Island. Uczęszczała do Sarah Lawrence College i Columbia University. Obecnie pracuje na Uniwersytecie Yale, mieszka w Cambridge w stanie Massachusetts. Glück jest znana z wrażliwości i wglądu w samotność, relacje rodzinne i ich rozpad, a także rozważań na temat śmierci. Jej prace są znane ze swojej emocjonalnej intensywności. W swojej twórczości często nawiązuje do mitologii rzymskiej i greckiej. W jej tomikach pojawiają się postaci borykające się z następstwami nieudanych romansów, katastrofalnymi spotkaniami rodzinnymi i egzystencjalną rozpaczą.

Do tej pory ukazały się jej tomy poezji: *Firstborn* (1968), *The House on Marshland* (1975) oraz *Descending Figure* (1980). Noblistka jest też autorką m.in. tomów *Meadowlands*, *The Wild Iris*, *Ararat*, *The Triumph of Achilles*, a także esejów takich, jak *Proofs and Theories: Essays on Poetry* (Ecco Press, 1994). W Polsce, wiersze Louise Glück (w tłumaczeniu Julii Hartwig) ukazały się w antologii *Dzikie brzoskwinie* (2003), prezentujące teksty amerykańskich poetek.

Marta TOK

Pudełko

Opowiadanie

Adela

Młoda kobieta była bardzo ładna. Miała ciemne ścięte na krótko lśniące włosy, regularne rysy, mleczną cerę i niebieskie, przezroczyste oczy. Czarny top szczelnie obciskał jej biust. Z rękami w kieszeniach bojówek i niedużym plecakiem na plecach, wzorowanym na tych wojskowych, stała zadzierając głowę przed jedną z pięknie odrestaurowanych berlińskich kamienic przy Uhlandstraße. Spojrzała pod nogi. Na mosiężnych kostkach brukowych wklepanych w chodnik, na pamiątkę żydowskich mieszkańców wywiezionych i zamordowanych w latach czterdziestych ubiegłego wieku, widniało to samo nazwisko – Lewin. 1940–1944, Auschwitz. Ella, Moritz i Kurt. Nazwiska Salomei nie było. Nic dziwnego, Salomea przeżyła. Inaczej Adela nie stałaby tu i nie wpatrywała się w przedwojenną kamienicę dalekich krewnych swojej babki. Ale jeszcze niedawno nie wiedziała, że jej babcia była z domu Lewin. I że naprawdę nazywała się nie Hanna Jabłońska, tylko Salomea Lewin.

Wszystko zaczęło się w dniu śmierci babci, jedenaście lat temu. Adela, świeżo upieczony kierowca, została poproszona przez mamę o pomoc w peregrynacji po urzędach w ich niewielkim, ale rozległym miasteczku na zachodzie Polski. To właśnie wtedy, z ust matki, odpowiadającej na zadane przez urzędniczkę pytanie, Adela usłyszała po raz pierwszy to obco i dziwnie brzmiące nazwisko: Elias i Sara Lewin, urodzeni w Bobowej. Gdyby brała na poważnie inwektywy i złośliwe komentarze różnych ludzi, powinna była się domyśleć już wcześniej.

W peerelu, kiedy jej ojciec był jeszcze wpływowym prominentem, mieszkali w niewielkiej poniemieckiej kamienicy. Ich sąsiadem był kolega ojca, Rakowski, niemiły, burkliwy alkoholik.

„Idź, idź, Żydowo” – wybełkotał kiedyś, chwytając się na nogach, gdy mijały go z matką na schodach. Innym razem, kiedy Adela na podwórku głośno śmiała się z bratem, Rakowski, przechodząc obok, posłał im jakieś „żydowskie nasienie” nasyczone alkoholowym odorem i nienawiścią. Jednak Adela nie przywiązywała do tego szczególnej wagi, od dawna nauczyła się ignorować starego dziada. Wyżywa się, jak zwykle, myślała. Że wyzywał ich od Żydów? Wyzwisko, jak każde inne, Adela nie zwracała sobie tym głowy. Dla tego wtedy, stojąc obok matki w urzędzie stanu cywilnego i pomagając jej załatwić akt zgonu babci Hani, na wieść o swoich prapradziadkach z Bobowej przeżyła coś w rodzaju szoku.

Miała dopiero 19 lat, był to w jej życiu okres zmian, moment, w którym marzenie o ucieczce z prowincjonalnego grajdołka do większego miasta, do prawdziwego świata, miało właśnie się ziścić – zdała świetnie maturę i dostała się na studia. W dodatku zakochała się ze wzajemnością w Witku i właśnie teraz, tuż po pogrzebie mieli wyjechać razem i nigdy nie wracać. Tak przynajmniej Adeli się zdawało i głównie te marzenia wypełniały ją bez reszty. Postanowiła więc rewelacje o babci Hani zakopać w zakamarkach duszy i przestać o tym myśleć.

Kilka lat później, gdy Adela okrzepła już w swoim nowym, dobrym życiu, kiedy mocno stanęła na nogach i stała się niezależną, pewną siebie kobietą sukcesu – także dzięki poczuciu bezpieczeństwa, które dawała jej miłość Witolda – dopuściła do siebie powracające od czasu do czasu pytania. Kim jest? Skąd przyszła babcia Hania? Co i dlaczego ukrywały jej córki, mama i ciotka? Postanowiła się tego dowiedzieć, a rozpoczęta wtedy podróż ku prawdzie przywiodła ją w końcu tutaj, przed tę kamienicę w Berlinie.

Adela stała w zamyśleniu jeszcze przez chwilę, po czym wsiadła na oparty niedbale o drzewo rower i ruszyła przed siebie.

Czerwone pudełko

Zaczął się od jednej z tych nudnych, rodzinnych imprez u ciotki Elwiry. Po śmierci dziadków, którymi opiekowała się z poświęceniem, ciotka pozostała samotna i to u niej rodzina miała zwyczaj spotykać się w święta. Owdowiawszy, mama zamieszkała razem z nią, ale to właśnie ciotka wydawała się Adeli strażniczką przeszłości. Tego wieczoru, mając wokół siebie całą rodzinę, trochę z przekory, ale przede wszystkim w poczuciu, że nadszedł właśnie moment, by wszystko wreszcie wyjaśnić, Adela zaatakowała ciotkę. Co wiesz o Salomei? Kim tak naprawdę jesteśmy? Co ukrywacie? Dawaj, ciotka, wszystko, co wiesz. Elwira stawiała opór, zdecydowana, by niczego nie ujawniać. Bała się może, by prawda o ich żydowskim pochodzeniu nie wyszła na jaw, prowokując złe reakcje, nienawistne spojrzenia, niechętnie komentarze. Przecież wszyscy, którzy znali ciotkę Elwirę, mieli ją za wojującą antysemitkę...

Zamieszanie, które wywołała swoją stanowczością Adela, te wszystkie oburzone zaprzeczenia i gorączkowe zapewnienia, „że tam nic nie ma”, „po co ci to”, skończyły się zapachem przypalonej świątecznej golonki i – wreszcie – pojawieniem czerwonego ozdobnego pudełka z listami i zdjęciami z przeszłości. Listy z Wrocławia, Bobowej, Argentyny i Izraela. A zatem Salomea miała krewnych w różnych zakątkach świata. Niektóre listy były zdawkowe, inne, jak te od Kornela, pełne tęsknoty. Wszystkie zawierały informacje o nowym życiu, ślubach i narodzinach.

– Oni już dawno nie żyją, a ich rodzin nie sposób

znaleźć – zapewniała ciotka.

– Szukałaś? – zdziwiła się Adela.

– No tak, kiedy na kolei pracowałam, za peerelu... Myślałam, że może do nich pojedę. Ale twój ojciec mówił: „Co ty tam znajdziesz, może oni nie chcą być znalezieni”.

Adela złościła się w duchu na siebie, że tylko ona w całej rodzinie nic nie wiedziała, bo przez te wszystkie lata bała się ruszyć temat tabu.

– To jednak były nienajgorsze czasy – westchnęła nagle mama. – Te wszystkie paczki z ciuchami... Byłam najlepiej ubraną dziewczyną w liceum.

Salomea

Bobowa, niewielkie miasto w Małopolsce, znana była całemu żydowskiemu światu ze względu na mieszkający tam ród cadyków z rodziny Habelstramów. Setki chasydów z całej Europy Wschodniej pielgrzymowało do słynnego rabina, a potem do jego syna, uważając ich za mędrców i cudotwórców. Niewielkie miasteczko stało się wtedy prężnym ośrodkiem kultury i handlu, tak jak w dniu ślubu syna cadyka w marcu 1931 roku, na który zjechało pięć tysięcy wyznawców.

Liczna rodzina Salomei, jej rodzice, starsze rodzeństwo, a także bliźni i dalsi kuzyni, zajmowali się zaopatrzeniem miasteczka. Żyli sobie w spokoju i zgodzie ze swoimi sąsiadami Polakami. Cadyk Habelstram głosił i nakazywał pielęgnowanie dobrosąsiedzkich stosunków.

Wszystko skończyło się w 1939 roku wraz z nadejściem Niemców. Nastał dla Bobowej czas mroku.

Bliskiego, ulubionego kuzyna Salomei, przystojnego Kornela Haltera wywieźli, jak wielu innych sprawnych młodych mężczyzn, do obozu pracy w Płaszowie i słuch po nim zaginął. Aresztowania, wywózki, getto... I ostatecznie haniebna

decyzja Hitlera o ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej – Endlösung der Judenfrage.

Pewnego sierpniowego dnia czterdziestego drugiego roku, Salomea, jak co dzień, wracała furmanką do domu. Wraz z jednym ze swoich młodszych kuzynów, Hirszem, rozwieźli właśnie swoje wyroby i produkowany przez rodzinę olej lniany do kilku okolicznych sklepów. Hirsz wysiadł i poleciał przez pole do siebie. Salomei został jeszcze kawałek drogi. Cieszyła się na nadchodzący szabas. Wojna wojną, ale żyć trzeba, a jakoś Niemcy do tej pory nasz dom zostawiali w spokoju, ktoś musi im jedzenie dostarczać – myślała Salomea, gdy nagle pod zagajnikiem, przed konia wylazł z rowu Janek, chłopaczek od Pokorów, sąsiadów mieszkających na wzgórzu.

– Salcia, ty nie jedź do domu. Tam Niemcy...

– A co?! – przeraziła się.

– Ja nie wiem, ale ojciec kazał ci do nas przyjść. Furmankę masz zostawić tu, w lasku, i chodźcie, ino szybko...

To od Pokorów ze strychu, przez szpary w dachówkach, po raz ostatni w życiu widziała Salomea swoich najbliższych, jak popędzani przez Niemców gramolili się do wojskowych ciężarówek. Jej najmłodszego brata, Aronka, matka podała starszej siostrze i potem sama się wdrapała. Salomea niewiele widziała więcej, bo łyż zalewały jej oczy, a serce tak biło, jakby miało z piersi wyskoczyć.

Po dwóch tygodniach, kiedy już jasne się stało, że nie ma na kogo czekać, stary Pokora zaprowadził nocą Salomeę do księdza Wronieckiego, o którym było wiadomo, że Żydom pomagał. Wroniecki Salcię na szybko do katolicyzmu przyuczył, ochrzcił i jako Hannę Lewińską wysłał swoimi kanałami do Berlina, do pracy w pralni, niby jako „ochotniczkę” na prace przymusowe.

– Podobno masz tam jakichś krewnych, twój ojciec mi kiedyś mówił. Zresztą, najbezpieczniejsza będziesz, dziecko, pod latarnią – miał powiedzieć.

Z Lewinami z Berlina już się nie spotkała. Wywieźli ich dwa lata wcześniej. Ale wkrótce Salomea, teraz już Hanka, poznała Polaka, Wiktora Jabłońskiego, dobrego człowieka, i to związek z nim uratował ją przed pogrążeniem się w ostatecznej rozpacz. Po wojnie, razem, pieszo wrócili do Polski, do miasteczka na zachodzie, z którego Wiktor pochodził. Zamieszkali w osiem

rodzin w malutkim mieszkaniu koło młyna. Pilnie jednak było Hance jechać do Bobowej, by sprawdzić, czy ktoś nie wrócił z wojennej tułaczki, i co się stało z domem rodzinnym. Wiktor się zgodził, więc pojechali.

Na rynku w Bobowej spotkali Kornela Haltera, kuzyna wywiezionego do obozu w Płaszowie. Przetrwał w fabryce Schindlera. Nikt inny nie przeżył.

Ściskali się długo nie mogąc od siebie oderwać. Jedyni ocalali z całej wielkiej rodziny...

Ksiądz Wroniecki wciąż był na miejscu. Więc teraz Salomea poprosiła go, by udzielił jej i Wiktorowi ślubu. W obrządku katolickim. Kornel Halter stał obok, milczący świadek odchodzącego świata. Ale się nie sprzeciwiał. Katoliczka? Wszystko jedno, najważniejsze, że tu była, że chociaż jedna osoba z ich wielkiej rodziny przeżyła. Więc, która wtedy, w powojennej Bobowej, powstała między nimi, przetrwała przez lata, nawet wtedy, gdy Kornel na stałe osiedlił się w Izraelu.

Kornel

Parę miesięcy po otwarciu czerwonego pudełka Adela była na targach w Pradze. Miała nadzieję spotkać poznanego kilka lat wcześniej Borysa z Francji, którego żona prowadziła w Paryżu prywatną żydowską szkołę i posiadała, jak kiedyś przy winie chwalił się Borys, znajomości w wyższych kręgach rządowych Izraela. Adela miała przy sobie kopię znalezionej w czerwonym pudełku listu od Kornela Haltera, w którym relacjonował on Salomei swoją trzymiesięczną podróż do Palestyny z Wrocławia do Wiednia, Genui i potem statkiem do Hajfy. Opowiadał o swoich smutnych, samotnych początkach w rodzącym się dopiero państwie, a potem o spotkaniu z Różą, miłą dziewczyną z Litwy, i planowanym z nią ślubie. Mieli stanąć pod chupą w sierpniu 1955 roku w małej synagodze, i Kornel serdecznie zapraszał Salcię i Wiktora, by przyjechali na ślub, a może najlepiej na zawsze. Rodzina powinna trzymać się razem, namawiał. Adela wiedziała już, że nigdy do tego nie doszło, dziadek Wiktor miał swoje nie najgorsze zajęcie, handlował po wioskach malunkami Ostatniej Wieczery, w różnych formatach, nieźle to mu szło i chociaż może lubił marzyć o dalekiej podróży, to był zadowolony z tego, co miał. A Hanna nie chciała się

już ruszać w nieznane. Na świat przyszły jej córki, stworzyła sobie tu, w zachodniej Polsce, swój bezpieczny świat – dom, dzieci, praca i kościół, do którego z czasem zaczęła chodzić codziennie. Modliła się też za Kornela i jego bliskich.

Przypuszczalnie nikt z rodziny w Izraelu nie zdawał sobie sprawy z więzi łączącej dziadka Haltera z Hanną Jabłońską z dalekiej Polski. Nie znali zapewne polskiego. Po śmierci Kornela, listy i paczki przestały przychodzić.

Adela przekopała cały internet, zwróciła się też do agencji doktora Rubinsteina, działającego w sieci detektywa. Nic to nie dało. Żadnego śladu krewnych Kornela i Salomei. Była już zniechęcona. Właściwie zdecydowała, że będzie to ostatnia szansa. Przekaze informacje zawarte w listach Borysowi, może jego żona coś wymyśli, a jak nie, to trudno. Adela zamknie żydowski rozdział w życiu swojej rodziny na zawsze.

Miesiąc po targach w Pradze Adela otrzymała adres mailowy do niejkiej Estery Cohen, z domu Halter.

Spotkanie

Samolot z Izraela przyleciał bardzo późno. Na lotnisku, w hali przylotów, stali już tylko Adela i Witold, kiedy wreszcie pojawili się oni, kilkuosobowa grupa ludzi w różnym wieku, kierujący się niepewnym krokiem w ich stronę. Ich odnaleziona rodzina.

Do późnej nocy w krakowskim hotelu poznawali się ostrożnie przy winie, pokazując na zdjęciach kolejnych członków rodziny, wspominając żmudne poszukiwania. Tyle lat was szukałam – mówiła żywo Estera. Jak przyszła wiadomość, że i wy nas szukacie, myślałam, że trupem padnę, że to jakiś znak jest, nie wiem, od ojca może.

Jednak do prawdziwego, oczyszczającego, zbratania doszło między nimi trochę później. W Bobowej, miejscowa nauczycielka historii, pani Raczyńska, przyjęła ich nad wyraz serdecznie i oprowadziła po miejscach znanych im ze zdjęć Kornela Haltera. Na końcu, brnąc w chaszczych i dzikich chwastach, przedarli się do stojącej na polanie samotnej mogiły.

To tutaj, w lesie Garbacz, w Stróżówce koło Gorlic, Niemieccy naziści rozstrzelali siedmiuset Żydów, starców, kobiety i dzieci z Bobowej i okolic. Leżała tu też cała trzydziestoosobowa rodzina Lewinów i Halterów. I dopiero w tym miejscu,

gdzie mogli wreszcie odmówić wspólnie modlitwę za zmarłych, płacząc, wzięli się w ramiona.

Berlin

Teraz Adela pedałowala samotnie przez Berlin w stronę ulicy, przy której kiedyś stały baraki robotnicze, gdzie podczas pracy w hitlerowskiej pralni mieszkała Salomea. Wszystko zniknęło, w tym miejscu wyrosły eleganckie apartamentowce dla niemieckiej klasy średniej. Zakłady Salamander przy Köpenicker StraÙe, w których pracował dziadek Wiktor Jabłoński, zniszczyła aliancka bomba w marcu czterdziestego piątego. Po Salomei i innych nie pozostał tu żaden ślad.

Ulicami szły młode matki, pchając przed sobą wózki z dziećmi. Wiatr przeganiał zwiedłe liście, spadały kasztany. Na tarasie kawiarni na rogu, ciepło ubrana para piła cappuccino. Jak gdyby nigdy nic się nie zdarzyło.

Tylko mosiężne kostki bruku przed kamienicami od czasu do czasu błyskały w jesiennym słońcu.

Marceli SZCZĘŚNY

Śremskie kościoły

SENTYMENTY

Zewnętrzną oznaką zamożności społeczeństwa są kościoły – ich ilość, wielkość oraz zasobność wyposażenia. Oceniając tą miarą społeczność śremską, należy uznać, że należała ona do bogatszych.

W początkach istnienia Śremu miasto lokowało się na wzniesieniach po lewej stronie Warty, od Wójtostwa mniej więcej do miejsca, gdzie znajduje się obecnie kolejowa wieża ciśnień. Najstarszym kościołem był parafialny kościółek pod wezwaniem św. Mikołaja. Miał go założyć król polski już w XI wieku, jednak konkretna wiadomość o nim pochodzi z 1298 r. Różnie określano jego położenia, istniała legenda, że stał przy szosie do Nochowa i podobno zapadł się w jezioru za koszarami. Dopiero w czasie robót remontowych przy wieży ciśnień w 1936 r. znaleziono szczątki ponad stu szkieletów ludzkich, polskie monety z czasów królowej Jadwigi, stare klucze oraz kilka bali dębowych. Wszystko to wskazuje na istnienie w tym miejscu cmentarza przykościelnego.

Niejasne są również dzieje drugiego kościoła na Starym Mieście pod wezwaniem św. Krzyża, znajdującego się w miejscu znanym później powszechnie jako „Klasztorzek”. Powstanie tego kościoła wiąże się z ufundowanym w 1238 r. klasztorem oo. Franciszkanów. Ten żebraczy zakon miejski z reguły zakładał swoje klasztory na skraju miasta w sąsiedztwie drogi. Po uzyskaniu od króla Władysława Jagiełły przywileju 13 IV 1393 r. zezwalającego na przeniesienie i założenie od nowa miasta po prawej stronie Warty, prawobrzeżne miasto stało się odtąd głównym ośrodkiem życia mieszkańców Śremu. Franciszkanie szybko zrozumieli znaczenie tej zmiany i na początku XV wieku swoją siedzibę przenieśli na drugą stronę rzeki. W trakcie budowy posesji po-

łożonej przy Starym Rynku nr 2 w 1930 r. znaleziono ilość kości ludzkich świadczących o istnieniu tam cmentarza znajdującego się przy kościele św. Krzyża.

Lustracja z 1789 r. stwierdziła, że „kościółek ten stał pusty, spróchniały od starości, bez żadnego użycia”. Nic dziwnego, bowiem Franciszkanie już pod koniec XV wieku znowu przenieśli swoją siedzibę na inny skraj miasta, na miejsce dzisiejszych budynków po franciszkańskich, gdzie postawili nowy kościół do 1486 r., pod wezwaniem św. Krzyża, później Bożego Ciała. Budynki barokowe kościoła i byłego klasztoru istniejące dzisiaj pochodzą z przełomu XVII i XVIII wieku. Nie znamy także daty powstania kościoła św. Ducha w pobliżu mostu. Początkowo był to niewielki kościółek, jeszcze w 1510 r. nazywany kaplicą, istniejący dzisiaj późnogotycki budynek kościelny został ufundowany przez braci Jana i Andrzeja Barskich przy końcu XVI w. Obok kościoła istniał dom dla ubogich tzw. szpital. Kiedy na skutek rozbiorów Polski napłynęła do Śremu większa ilość Niemców, w 1841 r. kościół św. Ducha przejęli ewangelicy, a dom szpitalny przekazano pastorowi na mieszkanie. Dopiero po II wojnie światowej kościół objęli poprzednicy. Prawdziwą ozdobę miasta stanowi kościół farny pod wezwaniem Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny. Jego budowa nastąpiła z pewnością po 1393 r., czyli równocześnie z realizacją przywileju królewskiego zezwalającego na budowę miasta po prawej stronie rzeki. Konkretnie wiadomości o istnieniu fary potwierdzają dane z lat 1421 i 1425, mówiące o fundacjach ołtarzy. Wieża kościelna została dobudowana w XVI wieku. Uważano wówczas, że gotycka budowla fary została zeszecona przez barokową wieżę. Ale szybko zapomniano o tej niby „szpetocie”, z du-



Ulica Mostowa w Śremie, ok. 1915 r. Widok na most żelazny przez Wartę, po lewej kościół św. Ducha, wówczas ewangelicki. Poczłtówka ze zbiorów Muzeum Śremskiego

mą i zachwytem zaczęto patrzeć na imponujący twór architektury sakralnej. Przyznaję, że jako śremski „emigrant”, ile razy wspominam swoje miasto rodzinne, jako pierwszy obraz widzę zawsze kościół parafialny, z jego z daleka widoczną wspaniałą wieżą. I dlatego nie mogę darować twórcom serialu o „Najdłuższej wojnie nowoczesnej Europy”¹, w czasie której tak wiele działo się w Śremie – że nie pokazano wspaniałej panoramy miasta z przykuwającą oczy farą, a ograniczano się do małej tabliczki z napisem ŚREM. Zrobiono wielką „oszczędność” na jednym tylko przyjeździe na miejsce wydarzeń historycznych. W 1627 r. należała jeszcze do kościoła farnego kaplica, którą zbudowano na koszt Chłapowskiego, dziedzica wsi Kadzewo. W tej kaplicy chowano zmarłych członków rodziny fundatora. W okolicy miasta znajdowały się kiedyś kościoły w Drzonku i w Nochowie oraz kaplica w Pyszacy², w Kadzewie, Łęgu, Manieczkach i Mechlinie. Pozostały jedynie w dwóch ostatnich wioskach. jako ciekawostkę należy odnotować, że w 1736 r. Śrem odwiedziła powódź trwająca 3 miesiące.

W kościołach franciszkańskim i św. Ducha woda sięgała ponad posadzkę prawie 2 metry, a w kościele farnym dochodziła do ołtarza głównego. Most na Warcie woda przewyższała blisko o 3 metry.

Niedawno wybudowano nowoczesny stylowo kościół pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa na Jezioranach.

Ponieważ przedruk rządzi się swoimi prawami, redakcja czuje się w obowiązku sprostować:

¹ Niezwykle popularny u nas serial nosi tytuł „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”.

² Chodzi o Pyszacą.

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

SŁAWOMIR OLGIERD KRAMM

Ukończył Akademię Muzyczną im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu na wydziale wokalnokantorskim w klasie wybitnego polskiego śpiewaka, tenora Mariana Kouby. Jego głos barytonowy określany jest przez znawców jako charakteryzujący się wyjątkowo ciepłą barwą oraz wielką elastycznością. Z powodzeniem śpiewa repertuar z kręgu muzyki operowej, operetkowej, musicalowej oraz znane standardy i hity muzyki rozrywkowej. Koncertuje w Polsce i za granicą, współpracuje również z teatrami operowymi w naszym kraju

oraz z filharmoniami. Jest także solistą znanego poznańskiego Brass Quintetu – „Capelli Zamku Rydzynskiego” pod dyrekcją Mieczysława Leśniczaka, gdzie z wielkimi sukcesami wykonuje muzykę klasyczną i rozrywkową. Często możemy też go usłyszeć na koncertach kameralnych ze znanymi artystami scen polskich i zagranicznych.

1 Kim jestem...

Artystą, śpiewakiem, lekarzem dusz.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Nie mam jednego najważniejszego.

3 W czym jestem dobry...

W improwizacji, podobno mam głos jak dzwon i dobry „bajerek”.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Myślę, że jeszcze wszystko przede mną.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Jeszcze tego nie wiem.

6 Co daje mi szczęście...

Spokój, muzyka.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Było ich kilka.

8 U przyjaciół najbardziej cenię...

Szczerłość, prawdomówność.

9 Bohaterstwo to dla mnie...

Wyjątkowa odwaga, w szczytnym celu.

10 Epoka, w której chciałbym żyć...

To daleka przyszłość i życie wśród kosmitów.

11 Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Przedwcześnie zejść z tego świata.

12 Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Rodzina, pies i dom.

13 Moja największa wada...

Jest ich sporo.

14 Główna cecha charakteru...

Punktualność.

15 Moje motto życiowe...

Mierz siły na zamiary.

16 Ulubiony dźwięk...

Głos Jose Carerasa, Dmitri Hvorostovskiego, Elvisa Presleya, Freddiego Mercurego, Czesława Niemena, Zbigniewa Wodeckiego, dźwięk skrzypiec, wiolonczeli, saksofonu, fortepianu.

17 Dźwięk, który mnie denerwuje...

Krojenie kartonu tępym nożem i jak ktoś nieczysto śpiewa lub gra.

18 Nie mógłbym żyć bez...

Bez powietrza, snu i bez koncertów.

19 Co wzbudza we mnie lęk...

Obecny czas pandemii oraz przyszłość moich bliskich i mój podeszły wiek.

20 Moje ukryte marzenie...

Podróż dookoła świata.

21 Dar natury, który chciałbym posiadać...

Posiadać głos taki, jakiego jeszcze nikt nie miał.

22 Zawsze śmiesz mnie...

Jaś Fasola.

23 Słowo, którego nadużywam...

Nie nadużywam.

24 Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

Mam krótką pamięć.

25 Myśl, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Żeby to szybko się skończyło.

26 Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Zawsze można i nawet trzeba wybaczyć.

27 Wolność to dla mnie...

Brak przymusu i szefa.

28 Kim chciałbym być, gdybym nie był tym, kim jestem...

Elvisem.

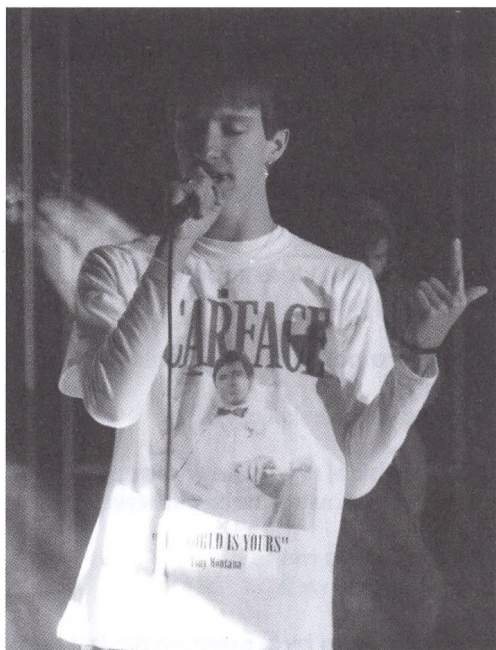
29 Obecny stan mojego umysłu...

Artysta, a poza tym wszystko OK.

30 Kim chcę zostać w pamięci innych...

Dobrym człowiekiem.

NASZTALENT : Bruno Gapys



BRUNO GAPYS

Rocznik 2002. Uczy się w Liceum Ogólnokształcącym w Śremie. W tym roku będzie zdawał maturę. Píše teksty, rapuje. Utwory publikuje na platformach streamingowych jako Manolo.

W sierpniu Muzeum Śremskie zorganizowało plenerowy koncert rapowy, którego „gwiazdą” był Manolo. Pod takim właśnie scenicznym pseudonimem występuje Bruno. Takiej publiczności jeszcze w muzealnym amfiteatrze nie było! Przyszli przyjaciele, koledzy, znajomi. Było naprawdę „gorąco”. Chyba każdy wykonawca marzy o takim debiucie. Bo to był jego pierwszy

koncert na żywo. Jako Manolo znany jest w sieci, jako Manolo występuje – takie jest jego sceniczne alter ego. Ale Bruno i Manolo to ten sam młody, uzdolniony śremski licealista. Zapytałam go jak to jest, kto jest kim i jak udaje mu się to pogodzić. „Manolo to Bruno. Bruno to Manolo. Bruno uczy się, ma plany, jest zwykłym chłopakiem, kocha spokój. Manolo to postać sceniczna – jest pewny siebie, otwarty, nieco ekscentryczny. Bruno nie lubi mówić o sobie, woli, żeby mówiła za niego jego muzyka”.

Zaczął słuchać amerykańskiego rapu już w 2015 roku. Rozumiał teksty, bo świetnie zna język angielski. Przemawiały do niego, bo mówiły o problemach i przemyśleniach młodych ludzi. W 2017 roku zaczął pisać własne teksty – po angielsku. Na polskie zdecydował się później. Na co dzień uczy się w maturalnej klasie w śremskim liceum. Ma swoje plany i marzenia. Oczywiście muzyczne. Wspierają go w tym najbliżsi, utwierdzają słuchający. Nie jest łatwo pogodzić naukę z pasją. Ale na razie mu się udaje. Tworzenie muzyki, praca nad tekstami zajmuje mu prawie cały czas, niewiele zostaje na inne rzeczy – lubi pograć w koszykówkę, spotkać się z przyjaciółmi. Szlifuje angielski, uczy się hiszpańskiego. Słucha muzyki – jazzu, czasem muzyki poważnej – „dobry gust muzyczny wyniosłem z domu” – mówi. Pracuje też nad dykcją – to bardzo ważne dla rapera, zdaje sobie sprawę, że jeszcze długa droga przed nim, zwłaszcza że zawiesza sobie poprzeczkę wysoko. Jego teksty powstają pod wpływem nastroju, emocji. Bitów, na razie szuka w internecie, stara się wyczuć ich energię i dopasować odpowiedni tekst. Chce je robić samodzielnie – musi się jednak jeszcze tego nauczyć. Żałuje że nie gra na żadnym instrumencie. Planuje naukę gry na pianinie i gitarze. Nagrał już



Manolo podczas koncertu w amfiteatrze Muzeum Śremskiego

pierwsza płytę – *Okrąg*, która jest dostępna na wszystkich platformach streamingowych. Utwór *Rozwój*, który ją promuje ma już ponad 25000 odsłon na platformie Spotify! „Utwory składają się z moich uczuć, emocji i przemyśleń. Sukces nie przyszedł mi łatwo – ciężko na niego zapracowałem”. Współpracuję z Łukaszem (Luxxem), który jest producentem, ale nie tylko. Wprowadził mnie w świat muzyki, stał się dla mnie bardzo ważną osobą, moim przyjacielem. Razem pracujemy już nad nową płytą.

Miło było rozmawiać z młodym człowiekiem, który ma marzenia, chce je spełniać, ma pomysł jak i nie boi się tego. Powodzenia Bruno!

Fot. Dominika Górna, „TZŚ”

Jestem... młodym człowiekiem szukającym samego siebie w systemie, który nie jest do tego stworzony.

Chciałbym... żeby każdy w życiu znalazł swoje szczęście i powołanie.

Myślę o... swojej następnej płycie i co zrobić żeby była inna od *Okręgu*.

Inspirują mnie... moi znajomi, rodzice, inni artyści i świat w którym żyjemy.

Potrafię... zachwycać się drobnostkami.

Lubię... słuchając Mac Millera patrzeć w chmury lub gwiazdy.

Muszę... nauczyć się grać na pianinie, gitarze i „robić bity”.

Żałuję... że przejmowałem się kiedyś zdaniem innych.

Boję się... przedwczesnej śmierci.

Joanna CHMIELEWSKA

Kajillionaire

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Miranda July należy do tych twórców, których albo się bezkrytycznie kocha, albo w całości odrzuca. Wina to tego, że July wymyka się jakimkolwiek klasyfikacjom. Nie sposób jej przypisać do jednego pola, czy dziedziny twórczości. Nie jest związana z jednym medium. Funkcjonuje na polu sztuk wizualnych, ale też dziennikarstwa, performansu, literatury, teatru, a nawet w świecie aplikacji. W pewnych kręgach ma status celebrycki, a na pewno ma imponujące grono wiernych fanów, tylko zajrzyjcie na jej konto na Instagramie.

Fascynujące jest, jak swobodnie July porusza się między różnymi dziedzinami; jak poszczególne projekty i pomysły czerpią z siebie nawzajem, jak jeden przechodzi w drugi. Jej filmy to na przykład miniaturowe bajki odgrywane jak gdyby na rozstrojonym instrumencie – kapryśne i słodkie z cierpkim akcentem, które pomimo wszystko wpadają w ucho, a raczej oko. July z każdą nową fabułą zanurza nas w wyzywająco nieprzewidywalny cudowny świat.

Filmowa twórczość Mirandy July zawsze dotyczyła relacji międzyludzkich. Jej pierwsze dwa filmy fabularne, *Ja i ty i wszyscy*, których znamy z 2005 roku oraz *Przyszłość* z 2011 roku (w którym narratorem był stary, umierający kot) są kluczowymi opowieściami o chorobie pokoleniowej w rozproszonej kulturze zdominowanej przez internet. Dziesięć lat... za długo według mnie trzeba było czekać na trzeci film Mirandy... No ale w końcu jest!

Kajillionaire opowiada o rodzinie niezbyt profesjonalnych, ale bardzo zaangażowanych drobnych oszustów z Los Angeles. W scenie otwierającej widzimy ich stojących na przystanku autobuso-

wym przed pocztą, nieprzekonująco udających obcych. Rodzice wydają rozkazy z wojskową precyzją: „15 sekund... teraz!” A kiedy nadejdzie ten czas ich córka o dziwacznym imieniu Old Dolio rozpoczynie absurdalną etiudę akrobaticzną, która prawdopodobnie ma na celu unikanie kamer, ale w rzeczywistości wygląda tak, jakbyśmy oglądali improwizowany występ uliczny. A wszystko to, żeby wykraść paczki, w których kto wie może znajdzie się coś wartościowego...

Dla Roberta i Theresy Dynes, rodziców Old Dolio drobne przestępstwa to zarówno styl życia, jak i filozofia. Old Dolio, chuda jak tyczka do fasoli szparagowej ma 26 lat. Jej rodzice nigdy nie traktowali jej jak dziecka. Nie było nazywania „misiem” czy „koteczkiem”, nie było żadnych prezentów urodzinowych, naleśników na śniadanie. Old Dolio od początku była przede wszystkim ich współpracownikiem. Od dzieciństwa tresowali i tym samym pogrążyli swoją córkę. Jej rodzice wydają się niezdolni do okazywania uczuć. Ich emocjonalne słownictwo zaczyna się i kończy na przetrwaniu, niebezpieczeństwie i śmierci.

Richard na przykład głosi wielkie teorie – „społeczeństwo jest uzależnione od cukru, uzależnione od kawy”; „wszyscy ludzie chcą zostać kajillionaires”. Przekonany jest też o wielkim trzęsieniu ziemi, które pewnego dnia zamieni Los Angeles w gruzy, a które jest tuż za rogiem. Z własnej rodziny udało mu się stworzyć miniaturową sektę.

Taka mentalność pozbawiła ich życie jakiegokolwiek znaczenia, miłości czy odpowiedzialności – choć możemy się również zastanawiać, czy pewność bohaterów o rychłej apokalipsie, od-



rzucenie przez nich norm społecznych i zachowań nie jest ich własną taktyką na przetrwanie. Emocje w tym filmie są bardzo stłumione, ale czasami wylewają się nagle w dziwny i zaskakujący sposób.

Nasi bohaterowie są winni 1500 \$ zaległego czynszu swojemu płaczliwemu właścicielowi o zabawnym, jęczącym głosie, który pozwala im zamieszkiwać w przestrzeni przypominającej coś między biurem a piwnicą. Tak się składa, że „mieszkanie” sąsiaduje z fabryką baniek mydlanych Bubbles Inc. (witamy w świecie wyobraźni Mirandy July) tak że ściany kilka razy dziennie pokrywają się kaskadą różowo-pastelowych mydlin, które rytualnie gromadzić trzeba w wiadra i wyrzucać do kanalizacji. Żeby spłacić dług rodzina decyduje się na „wielki skok” – lot do Nowego Jorku tylko na chwilę, by móc „zgubić” bagaż i żądać zwrot kosztów od ubezpieczenia lotniczego. Podczas lotu Dynes poznają czarującą i błyskotliwą Melanie i w tym właśnie momencie życie Old Dolio zaczyna się zmieniać.

Kajillionaire to opowieść o prymitywnym, prawie zdziczałym dziecku, które spotyka swoje wypolerowane, beztroskie przeciwieństwo i widzi w niej zarówno przeciwnika, jak i być może powód do nadziei. Powiedzieć więcej nie powinienam, bo to ujawniłoby niektóre ze wspaniałych niespodzianek, jakie pojawiają się w filmie. Powiem tylko tyle, że July zabiera te dziwne, zdesperowane postacie i daje im kilka szalonych zwrotów akcji.

To piękny, głęboko empatyczny film – najlepszy jaki dotąd Miranda July nakręciła, doskonale równoważący niepohamowaną powagę reżysera z psychoanalityczną potrzebą zrozumienia, jak tworzą się i utrzymują ludzkie więzi.

Polecam bardzo!

Jolanta ANDRZEJEWSKA

Jaremianka

Z górnej półki

Mam zwykle kłopot z biografiami. Na ogół czytam je z krępującą świadomością podglądania osoby prawdziwej oraz z wrażeniem, że wszystkie supozycje autora, a także przytoczone fakty, można by interpretować inaczej. Taki właśnie problem miałam z grubą, pięknie wydaną przez Wydawnictwo Znak, bogato ilustrowaną fotografią i reprodukcjami, książką *Jaremianka* Agnieszki Daukszy.

W nominowanej do Nike 2020 biografii Marii Jaremy autorka stara się opowiedzieć, jakim człowiekiem była artystka. Opierając się na notatkach z jej szkicownika, różnych listach, fragmentach twórczości Kornela Filipowicza, pisarza i przyszłego męża Marii, a także opowieściach im współczesnych, tworzy obraz kobiety wyprzedzającej swoją epokę.

Wszystkie opinie zgodne są co do tego, że artystka była kobietą niesłuchanie nowoczesną. Nosiła malowniczy kapelusik „naleśnik”, podobno jej znak rozpoznawczy, zakładała często spodnie, co w Krakowie mogło uchodzić za dość szokujące w pierwszej połowie dwudziestego wieku, tańczyła z nieznajomymi, publicznie paliła papierosy, na zdjęciu z kolejnym amantem siedzi nonszalancko na belce pokazując gołe uda, nie myśli o zamążpójściu, a nawet od propozycji tego typu ucieka. Najwyżej ceni sobie niezależność, chociaż, w sytuacjach kryzysowych, bez większych problemów korzysta z pieniędzy kochanka i przyjaciela, lekarza Gustawa Gabriela Gotliba. Jednym słowem, daleko jej do image’u panienki z dobrego domu spod Drohoczyna, którą de facto była. Wprawdzie nonszalanckie zachowanie artystki można tłumaczyć, mówi Agnieszka Dauksza, zmianą, która pojawiła się w życiu kobiet po pierwszej wojnie światowej – zdobyły prawa wyborcze w 1918 roku, także masowy dostęp do

edukacji wyższej, pracy zarobkowej i, co za tym idzie, mogły wreszcie swobodnie, samodzielnie poruszać się po mieście. Niemniej jednak, w zaprzyjaźnionym obyczajowo Krakowie, Jaremianka wyróżniała się podobno zdecydowanie.

Książka Agnieszki Daukszy jest dobrze osadzona w kontekście historycznym, a mnie szczególnie przypadł do gustu opis „szalonych” lat dwudziestych-trzydziestych, w których Maria Jarema studiuje u Dunikowskiego w Krakowie i stawia pierwsze kroki jako rzeźbiarka awangardowa. Wraz z Henrykiem Wicińskim i Jonaszem Sternem, kolegami ze studiów zakładają artystyczną Grupę Krakowską, wydają tygodnik, organizują pierwsze wystawy. Niestety, autorka biografii niewiele mówi o poglądach na sztukę, które zbliżyły tę grupę. Możemy tylko domyślać się, na podstawie kilku luźno rzuconych uwag, że młodzi artyści sprzeciwiali się nie tylko skostniałym poglądom artystycznym, reprezentowanym przez większość wykładowców krakowskiej ASP, ale także ich elitarnej, często antysemickiej, postawie społecznej. Autorytetami dla młodych twórców stają się Leon Chwistek, Władysław Strzemiński i Katarzyna Kobro, a wszyscy otwierają się na nowe idee artystyczne nadchodzące z Francji. Paryż jest wówczas niekwestionowanym centrum sztuki światowej, nikt jeszcze nie słyszał o galeriach nowojorskich. Młodzi artyści wyjeżdżają zatem do stolicy Francji po inspirację, także Marii Jaremie udaje się zdobyć stypendium na wyjazd. Wraca, tak, jak inni, odmieniona, pełna nowych pomysłów, odważniejsza. W tamtych czasach, przebywając w środowisku artystycznym Paryża, nie było trudno poznać osobiście malarzy, których nazwiska są dzisiaj synonimem przełomu w sztuce nowoczesnej, takich, jak Picasso, Braque czy Kandinsky. Na jednym ze

zdjęć z Paryża widzimy na przykład Marię Jaremę w gronie młodych, wesołych ludzi, w towarzystwie Soutina!

To właśnie po powrocie ze swojej podróży nad Sekwanę, Józef Jarema, brat artystki, założył w Krakowie słynny teatr Cricot, z którym jego siostra i jej wielu przyjaciół współpracowali jako twórcy kostiumów, scenografii i czasami aktorzy. Spektakle – groteskowe i zabawne – przyciągały coraz większą publiczność, chociaż spotykały się też z krytyką konserwatywnej części społeczeństwa. Jesteśmy przecież w przededniu getta ławkowego i rosnących wpływów endecji. Jaremowie, których towarzystwo spotykające się w kawiarni Związku Plastyków pełne jest Polaków pochodzenia żydowskiego, patrzą ze zgrozą na coraz częstsza agresję wobec swoich przyjaciół. Agnieszka Dauksza pisze o poczuciu bezradności Marii Jaremy wobec bieżących wydarzeń i jej chęci ucieczki do cywilizowanej Francji (swoją drogą, niesamowite, jakie historia zatoczyła tu koło).

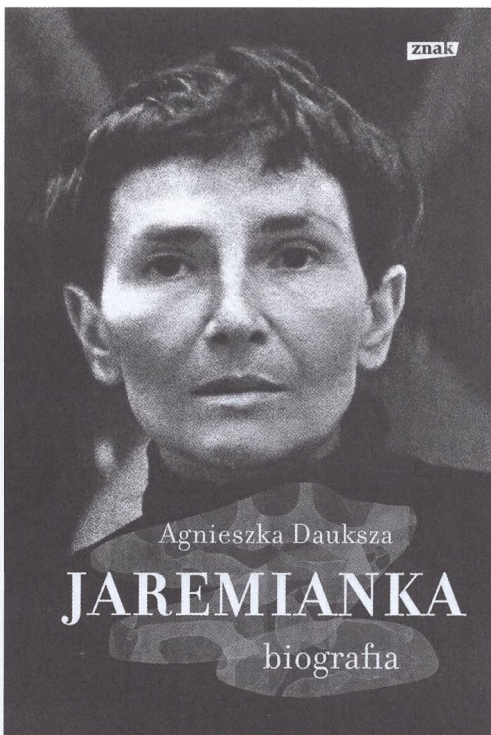
Kryzys ekonomiczny dociera do Polski na początku lat trzydziestych, wywołując masowe robotnicze protesty, w których uczestniczy też Maria Jarema wraz z kolegami. Giną manifestanci. Nic dziwnego, że młode środowisko artystyczne Krakowa jest w tym czasie mocno lewicujące, egalitarystyczne, związane z organizacjami pomagającymi robotnikom, a także z partią komunistyczną. Na uroczystości żałobne w Domu Górnik artystka, wraz z Jonaszem Sternem, przygotowuje wyrazistą instalację, projektuje też pomnik nagrobny na cmentarzu Rakowickim upamiętniający ofiary strajku. Mimo zaangażowania w sprawy społeczne, Jaremińska pozostaje jednak, według Daukszy, niezależną artystką. Po otrzymaniu dyplomu pisze w „Głosie Plastyków” tekst na temat polskiej sztuki, którego aktualność pozostaje dzisiaj wstrząsająca: „Sztuka [...] opierając się na zdobyczach ogólnościowych, szuka dalszych problemów i rozwiązań, które w swoim sensie intelektualnym nie mają nic wspólnego z narodowością ani rasą [...]. Jak wygląda właściwie ta dzisiejsza «polska sztuka narodowa»? Huculi, krakowiaki, ułani, szarża, armaty [...]. Czyli literatura i tania propaganda, wszystko z wyjątkiem problemu plastycznego. [...] jakby na obrazie należało szukać nie malarstwa, ale dobrych armat”.

Pod koniec 1938 roku, kiedy ONR szaleje na ulicach Krakowa, Maria Jarema zdecydowana jest na powrót do Paryża. Zanim jednak do tego dojdzie, do Polski wkroczą Niemcy, bracia i narzeczony zostaną powołani do wojska i świat stanie na głowie.

Maria Jarema ma 31 lat, zaczyna najpiękniejszy okres w życiu kobiety. Co z nim zrobi w tych trudnych wojennych czasach? Jak poradzi sobie w okresie szalejącego stalinizmu, ona, osoba o poglądach lewicowych? By tego się dowiedzieć, droga Czytelniczko, musisz sięgnąć po książkę Agnieszki Daukszy. Być może, tak jak mnie, znużą cię wątki miłosne, te wszystkie listy Wicińskiego, Kornela Filipowicza, te ploteczki i domysły autorki... A może wręcz przeciwnie?

Jednak, dzięki tej książce, miałam szansę przyrzec się narodzinom silnej, niezależnej artystki, której obrazy w muzeach we Wrocławiu, Łodzi, czy w Poznaniu zwracały zawsze moją uwagę.

Agnieszka Dauksza *Jaremińska*
Wydawnictwo Znak, Kraków 2019



Ewa NOWAK

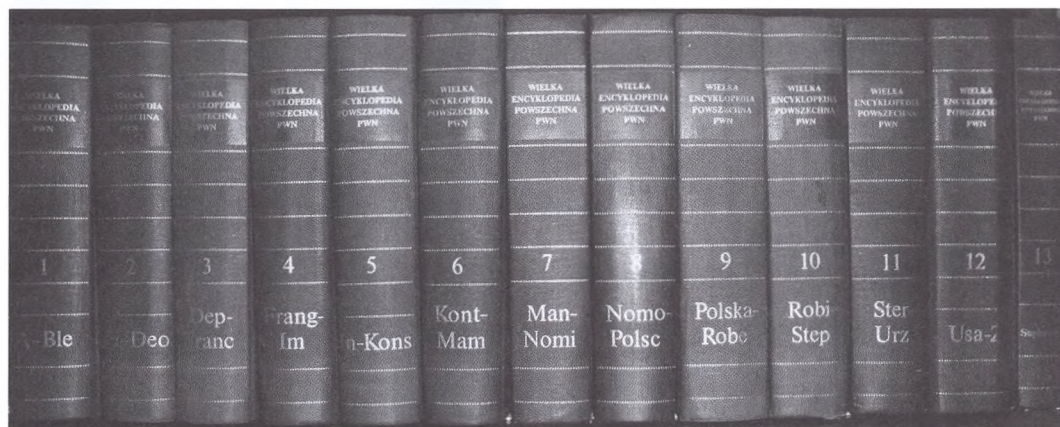
Wielka encyklopedia powszechna PWN

Rzeczy minione

Królowa polskich mieszkań lat 70. i następnych co najmniej dwóch dekad. Obowiązkowy element wystroju. Oznaka pozycji i prestiżu właścicieli. Internet na miarę czasów. W wersji papierowej oczywiście. Ale inna nie była jeszcze dostępna (choć obecnemu pokoleniu trudno to sobie wyobrazić).

Projekt wydania encyklopedii uniwersalnych Państwowe Wydawnictwo Naukowe podjęło w roku 1956. Wydano wtedy *Małą encyklopedię powszechną PWN* (1959) oraz *Encyklopedię popularną PWN* (1962). Pomysł wydania *Wielkiej encyklopedii powszechniej PWN* zrodził się rok później. W ciągu 14 miesięcy przygotowano listę haseł. Pierwszy tom ukazał się w grudniu 1962.

Encyklopedia została wydana w 12 tomach, choć początkowo zaplanowano 8 (13 tom – suplement, wydano w 1970 roku), w objętości ok. 2000 artykułów wydawniczych, w nakładzie 178 000 egzemplarzy. Zawiera 75 000 haseł, 12 000 ilustracji, 200 kolorowych i 650 czarno-białych ilustrowanych insertów i 120 kolorowych map na 10 715 stronach. Wydany w wyniku ogólnokrajowej dyskusji suplement zawiera 1500 dodatkowych haseł. Pracowało nad nią ponad 2 000 autorów, około 1 000 recenzentów i konsultantów oraz prawie 100 redaktorów. Pracami kierowała Rada Naukowa powołana przez Polską Akademię Nauk i Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, pod przewodnictwem prof. Tadeusza Kotarbińskiego. W kwestiach społeczno-politycznych encyklopedia opierała się na doktrynie marksistowsko-leninowskiej.



Bartosz KLIMCZUK

Ekwador – kraj piękny, tylko ludzie... mniej



B&B przez Ameryki. Część 8

Słynne polskie przysłowie: „mądry Polak po szkodzie” nie wzięło się z niczego. Pech sprawił, że jego dosyć prostego przesłania doświadczyliśmy na własnej skórze i to w dodatku w tak pięknym kraju, jakim jest Ekwador. Nie natrafiliśmy chyba w internecie na podróżniczego blogera, który nie wspominał, że należy w tym państwie mieć oczy z tyłu głowy. I o ile w Meksyku największym powodem do niepokoju dla zagranicznego turysty powinny stanowić napady z bronią w rękę, to w Ekwadorze plagą są pospolite kradzieże. Niektórzy powołują się nawet na bliżej nieznane statystyki mówiące, że siedmiu na dziesięciu odwiedzających ten kraj pada ofiarą złodzieja. Jaka szkoda, że my znaleźliśmy się w tej siódemce...

Naczytaliśmy się mnóstwo o tym, że należy plecaki nosić zawsze na torsie, a nie na plecach. Żeby absolutnie nie chodzić nigdzie po zmroku i w dodatku w pojedynkę. Aby jadąc gdziekolwiek autobusami, bagaż nie tyle mieć zawsze na oku, co przez całą podróż kurczowo się go trzymać. Gdy tyle wpisów człowiek poczyta, to mimowolnie dreszcz się na plecach pojawia.

Po przybyciu do Quito, stolicy Ekwadoru, naszym oczom ukazało się dosyć typowe, latynoamerykańskie miasto. Wokół dworca raczej biedne, domy z cegieł bez okien i tynku. Do tych widoków byliśmy jednak przyzwyczajeni i nie robiły one na nas już takiego wrażenia. Ponieważ do centrum był spory kawałek, postanowiliśmy wziąć taksówkę. Z jej znalezieniem nie było problemu – mnóstwo ich stało tuż obok wyjazdu z dworca. Pan kierowca był bardzo sympatyczny, mimo że wziął za kurs zdecydowanie więcej, niż powinien. To jednak nie taka tragedia, czytaliśmy

w internecie o fałszywych taksówkarzach, którzy wywożą gdzieś swoich pasażerów, by tam ich okraść i zostawić na pastwę losu.

Nasz nocleg mieścił się w niemalże samym centrum metropolii. Trzeba przyznać, że starówka jest naprawdę piękna. Z niesamowitą precyzją odrestaurowane kamienice i domy, czyste ulice, w dodatku większość budynków utrzymana jest w tonacjach bieli i lekkich szarości. Kolory i ogólny wygląd starego miasta z pewnością nie nasuwały żadnych negatywnych skojarzeń. Pierwszą osobą, która ostrzegła nas jednak przed tym zwodniczym pięknem, był młody właściciel naszego hostelu. Nad walorami naturalnymi i kulturalnymi jego ojczyzny nachwalił się nie mógł, jednak kazał nam również uważać na złodziei, którzy potrafią być „magikami” – takiego określenia właśnie użył. Podobno wielu turystów bardzo długo nie zorientowało się, że padło ofiarą złodzieja. Przyznamy szczerze, że nie przejęliśmy się tym za bardzo. Zawsze staraliśmy się zachować odpowiednie środki bezpieczeństwa, a poza tym chcieliśmy się cieszyć urokami miasta, a nie popadać w paranoję strachu.

Spacer ulicami Quito był naprawdę sympatyczny. Ani razu nie odczuliśmy, że może nam się coś złego stać. Pod koniec dnia, gdy zaczynało powoli robić się ciemno, postanowiliśmy, że szybko jeszcze podejdziemy pod posąg Matki Boskiej Skrzydlatej, który góruje nad miastem. Nim jednak zaczęliśmy wspinaczkę, zatrzymał nas funkcjonariusz policji turystycznej. Powiedział, że oni za moment kończą tutaj swój całodzienny patrol i poleca nam przejechanie się tam taksówką, a nie podejście pieszo. Gdy zapytaliśmy dlaczego, mundurowy odparł, że momentalnie ktoś nas tam

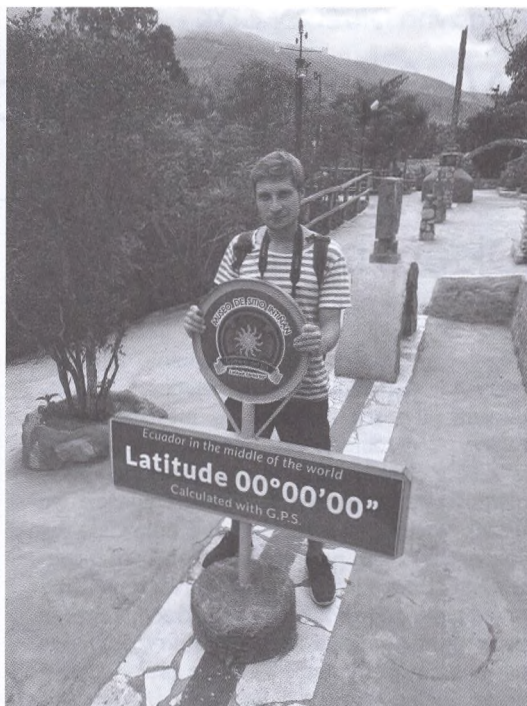
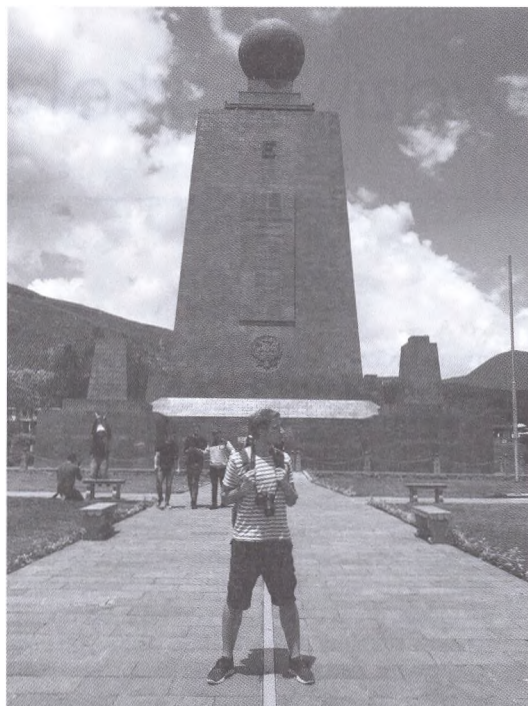


Panorama Quito z biedniejszej dzielnicy

napadnie i okradnie. Początkowo pomyśleliśmy, że pewnie jakiś jego znajomy jest taksówkarzem i nieuczciwy policjant chce nas po prostu naciągnąć. Po chwili jednak zobaczyliśmy, że oprócz nas nikt już pod górę wchodzić nie chce. Postanowiliśmy zrezygnować z tego pomysłu i pochodzić jeszcze po starówce. W pewnym momencie zaczął padać deszcz, schroniliśmy się więc przed nim pod jednym z okolicznych blaszanych daszków. Jakież było nasze zdziwienie, gdy w pewnym momencie podbiegła do nas kobieta, łamaną angielszczyzną tłumacząc, że musimy niezwłocznie opuścić to miejsce. Powodem miała być grupka młodzieży, na oko w wieku około 14 lat, która w jej opinii bacznie się nam przyglądała i tylko czeka na okazję, żeby nas napaść. Koniecznie trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że byliśmy w ścisłym centrum, pomiędzy tymi pięknymi, wyremontowanymi, monumentalnymi

mi budynkami. Na tamten moment pomyśleliśmy, że to już jest chyba jakaś zbiorowa paranoja, ale jednak posłuchaliśmy Pani i udaliśmy się, moknąć nieміłosiernie, do hostelu.

Długo w Ekwadorze było wszystko dobrze. Zły los dopadł nas przy okazji wyjazdu z najpiękniejszej górskiej miejscowości, w jakiej do tej pory byliśmy – Baños. Tam niestety autorowi tego tekstu czujność na moment się wyłączyła. Wchodząc do autobusu, usiedliśmy na miejscach, które były wpisane na biletach, a nie razem z innymi turystami – pierwszy błąd. Do tej pory nam nic się nie stało, więc gdy drugi Bartosz przywiązywał sobie swój plecak do nogi, uznałem to za lekką przesadę. Dla mnie wtedy wystarczyło, że miałem go między nogami, czyli z grubsza na widoku. I to był właśnie drugi błąd. Droga do kolejnego naszego punktu wiodła przez góry i trwała



Po lewej: „Fake równik”. Po prawej: Ecuador to po hiszpańsku równik

ładnych parę godzin. Zmęczenie dało w końcu o sobie znać i razem zasnęliśmy. Po przebudzeniu wszystko zdawało się być na swoim miejscu. Dopiero dzień później, gdy zjrzałem do swojego plecaka spostrzegłem, że ktoś ukradł mój stary telefon wraz z ładowarką. Na podróż wziąłem go tak w razie nagłej sytuacji, gdyby coś się złego stało z obecnie używaną komórką. Złodziej musiał usiąść z tyłu nas i wykorzystać chwilę mojej nieuwagi. Strata materialna może nie była zbyt wielka, ale na telefonie znajdowały się zdjęcia z poprzednich podróży, które jeszcze nie były zgrane na inny nośnik. Przez moment pomyśleliśmy, że może by całą sprawę zgłosić na policję, ale gdy podzieliliśmy się tym pomysłem z Ekwadorczykami, to nas wyśmiali. Mundurowi podobno działają tylko w momencie, gdy łupem złodzieja padnie paszport obcokrajowcy. Poza tą jedną sytuacją odprawiają poszkodowanych turystów z kwitkiem. Następnym razem gdy wsiedliśmy do autobusu, miałem plecak zawieszony na torsie i to bez względu na niewygodę czy wy-

godę. Jako plus całej tej sytuacji mogę wspomnieć, że w plecaku znajdował się także mój portfel. Był on jednak pod dwiema kurtkami wykonanymi z bardzo szeleszczącego materiału, dlatego złodziej chyba odpuścił sobie grzebanie akurat w tej przegrodzie.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Wróćmy do prawdziwej szkoły

Okiem belfra

Tegoroczny 1 września był zupełnie inny niż wszystkie poprzednie. W niepewności, czy zadzwoni pierwszy dzwonek, w масечkach na twarzy, z drżeniem, czy uda nam się spędzić w szkole choć tydzień. Mimo wszystkich przeciwności witaliśmy ten rok szkolny z radością. Na ustach wielu z nas wielokrotnie pojawiało się „nareszcie!”. Oto po pół roku nieobecności spotkaliśmy się w szkolnej sali. Z werwą stanęliśmy przed tablicą, by poczuć w ręce kredę, a przede wszystkim spojrzeć naszym uczniom w oczy – ale tak naprawdę, w realu. Miesiące pracy zdalnej przypominały nam, co w tym zawodzie jest najcenniejsze. Uświadomiliśmy sobie, że prawdziwego, realnego kontaktu z drugim człowiekiem nie zastąpią najwspanialsze rozwiązania techniczne. Upewniliśmy się, że szkoła to niezwykle przestrzeń. To miejsce, w którym zachodzą interakcje, jakich nie da się przenieść do cyberświata.

Staję przed moimi uczniami ze słowami „nie mogę się na Was napatrzeć”. I to szczerza prawda. Nasze lekcje online – skądinąd ciekawe, różnorodne, często zabawne – nie były najłatwiejsze. Staś miał za wolny internet, Zosi popsuta się kamera, Jankowi nie chciało się zmieniać piżamki na strój dzienny, więc wyłączył swoją. W efekcie najczęściej słyszałam moich uczniów, ale widywałam rzadko. Odbierałam wiele wiadomości. Rozmawialiśmy wirtualnie o ważnych sprawach, ale tego prawdziwego spotkania w klasie zabrakło. Zatem od 1 września starałam się nacieszyć oko, a każda lekcja była wielką przyjemnością.

Moi uczniowie znów mogli usiąść obok siebie w ławce. Mogli przekrzykiwać się na przerwie. Próbowali ściągać na sprawdzianie, zaglądając przez ramię kolegi. Znów wchodzili w relacje,

razem tworzyli swoją szkolną rzeczywistość. Gdyby nie масечki, można by powiedzieć – wróciliśmy do normalności.

Ale tak naprawdę już od pierwszych minut nowego roku szkolnego towarzyszyła nam obawa – jak długo pozostaniemy w szkolnych salach? Nie baliśmy się nauczania zdalnego, dlatego, że jest to trudne wyzwanie. To już opanowaliśmy. Mamy narzędzia, pomysły, pewną praktykę. Boimy się, że znów stracimy realny kontakt z naszymi podopiecznymi. Znikną za ekranem komputera i staną się tylko „ikonką” w ramach platformy edukacyjnej, z której skorzystamy. Ilu z nich zostanie sam na sam ze swymi problemami? Ilu straci kontakt z kolegami? Ilu przestanie rozwijać pasję?

Pandemia to siła, która zmienia naszą rzeczywistość w niewyobrażalny sposób. Dotyka każdej dziedziny. Uczy nas pokory, dystansu i cierpliwości. Zapewne otworzyła wiele nowych furtek, zmusiła do znalezienia nowych dróg. Ale jednocześnie sprawia, że część z nas staje się rozbitkami w tym wielkim świecie. Boję się, by na bezludnych wyspach nie wylądowali moi uczniowie. Chciałabym, by mogli spokojnie uczyć się żyć w społeczeństwie, tworzyć relacje, odpowiadać na potrzeby innych i komunikować swoje.

Wiem, że jestem w stanie przekazać młodym ludziom wiele wiadomości także drogą online. Mogę zaprosić ich na piękne wykłady, przesłać ciekawe notatki, załączyć barwne prezentacje. Ale nie mogę spojrzeć w oczy, odczytać mowy ciała, odpowiedzieć na niewerbalne sygnały, gdy mój uczeń znika po drugiej stronie ekranu, ukryje się pod postacią pięknego awatara.



Wieści z ratusza

„DZIAŁAMY” W LO W ŚREMIE

Uczniowie Liceum Ogólnokształcącego im. gen. J. Wybickiego w Śremie biorą udział w projekcie „Działamy” realizowanym przez Stowarzyszenie CREO i Metropolię Poznań. Projekt realizowany jest w 25 wielkopolskich szkołach.

Głównym założeniem programu jest wzrost partycypacji obywatelskiej i społecznej młodzieży oraz zwiększenie zaangażowania osób młodych w sprawy publiczne. Projekt realizowany jest od 1 lipca 2019 do 30 listopada 2020 roku.

W ramach projektu w szkołach realizowany jest cykl warsztatów poświęcony tematyce społeczno-obywatelskiej:

- warsztaty przygotowujące do tworzenia własnych projektów społecznych i obywatelskich,
- warsztaty przygotowujące do zorganizowania Szkolnego Budżetu Obywatelskiego (SBO),
- warsztaty na temat starości z wykorzystaniem innowacyjnych narzędzi, takich jak kombinezon starości (które pozwalają uczniom wczuć się w rolę osoby starszej),
- warsztaty na temat niepełnosprawności z praktycznym wykorzystaniem wózka (które dają możliwość doświadczenia niektórych barier, z jakimi osoby niepełnosprawne stykają się na co dzień).

Młodzież angażuje się również w przeprowadzenie inicjatyw wolontariackich na rzecz lokalnej społeczności, mających na celu ukazanie znaczenia dobra wspólnego. Uczniowie należący do Klubu Młodego Obywatela ubiegłej jesieni zainicjowali akcję „Jabłko lub cukierek zamiast papierosa”. Tego dnia wszyscy wchodzący do szkoły byli witani cukierkami z etykietą „Nie palę”, zorganizowano również 4 tury spotkań na temat szkodliwości palenia. Po części szkolnej uczniowie z kosztami pełnymi jabłek udali się na

rynek i częstowali jabłkami przechodniów (zwłaszcza palących), przypominając o negatywnych skutkach palenia.

Efektem projektu „Działamy” jest także organizacja edycji Szkolnego Budżetu Obywatelskiego. Wśród zgłoszonych przez uczniów propozycji znalazły się: zakup rolet do sal z telewizorami i tablicami interaktywnymi, ciche i czytelne zegary do sal maturalnych oraz nowe magnetofony. Autorskie pomysły poddane są głosowaniu, a zwycięski projekt zostanie sfinansowany kwotą 1000 zł. Wyniki w LO w Śremie znane będą 26 października br.

Więcej informacji o projekcie na stronie www.konsultacje.metropoliapoznan.pl.

II OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL PIOSENKI POLSKIEJ „ŚREMSKA NUTA”

10 października w sali KCEK odbył się II Ogólnopolski Festiwal Piosenki Polskiej „Śremska Nuta”. Do udziału w konkursie zgłosiło się ponad 100 młodych solistów z całej Polski.

Uczestnicy wykonywali piosenkę polskiego autora tekstu i polskiego kompozytora z XXI wieku. Po wysłuchaniu nagrań demo komisja konkursowa zakwalifikowała do finału festiwalu 47 osób. Rywalizacja podzielona była na trzy kategorie wiekowe: 8-11 lat, 12-15 lat oraz 16-20 lat.

Na scenie wystąpili zdolni młodzi wokaliści. Jury w składzie przewodniczący Bartosz Wrona – wokalista oraz członek zespołu Just 5, Marzena Osiewicz – pedagog śpiewu i wykładowca Policealnego Studium Piosenkarskiego im. Czesława Niemena w Poznaniu, wokalistka, pianistka i kompozytorka oraz Anna Szmyt-Baranowska – dyrektor Śremskiego Ośrodka Kultury nie miało łatwego zadania w wyborze laureatów.

KATEGORIA I: 1 miejsce – Ada Jarek (Kalisz), 2 miejsce – Natan Gryga (Brzeźnio), 3 miejsce – Michalina Michalak (Kłodawa)

KATEGORIA II: 1 miejsce – Aleksandra Gąsiorowska (Poznań), 2 miejsce – Anna Prałat (Nowa Wieś), 3 miejsce – Bartosz Dyrda (Sulęcinek)

KATEGORIA III: 1 miejsce – Julia Mróz (Sady), 2 miejsce – Kinga Żelichowska (Ślesin), 3 miejsce – Julia Gąska (Rokietnica).

Grand Prix festiwalu otrzymała Julia Rzepka z Cerekwicy.

W konkursie przyznano również osiem wyróżnień. Zdobyli je: Michelle Bednarowska (Drezdenko), Weronika Bąk (Poznań), Julia Stachowiak (Śrem), Emilia Nowak (Leszno), Amelia Ciesielska (Kobylniki), Hanna Pułkownik (Stęszew), Martyna Wosiek (Tłokinia Nowa.), Olga Menzel (Śrem)

Podczas Festiwalu przyznano także dwie nagrody specjalne:

dla najmłodszego uczestnika – ośmioletniej Zosi Kupczak z Wagrowca, dla wykonawcy z powiatu śremskiego za najciekawszą interpretację piosenki – Jagody Stępy.

Patronat nad konkursem przyjął burmistrz Śremu Adam Lewandowski.

„ZAPAL ZNICZ PAMIĘCI”

Akcja medialno-edukacyjna „Zapal znicz pamięci” to wspólny projekt pięciu Oddziałowych Biur Edukacji Narodowej IPN, Radia Poznań oraz lokalnych rozgłośni radiowych. Celem akcji jest upamiętnienie polskich obywateli II RP, zamordowanych przez Niemców w pierwszych miesiącach II wojny światowej.

„Zapal znicz pamięci” to przypomnienie o miejscach zbrodni dokonanych przez Niemców w ramach Operacji Tannenberg i „politycznego oczyszczania gruntu” w pierwszych miesiącach II wojny światowej. 25 października Polacy mogą uczcić pamięć ok. 40 000 przedstawicieli polskich warstw przywódczych, którzy zostali zamordowani na terenach II RP wcielonych w 1939 r. do III Rzeszy: w Wielkopolsce, regionie łódzkim, na Pomorzu, Kujawach i Górnym Śląsku.

W tym roku w szczególności przypominano pięć postaci:

Mieczysława Hejnowicza (1890–1939),

Teodozję Łapkiewicz (1915–1939),

Edmunda Baranowskiego (1886–1939),

Stefana Burschego (1887–1940),

Hipolita Roszczynialskiego (1897–1939).

Partnerem medialnym jest portal dzieje.pl. Akcja odbywa się pod patronatem honorowym Marszałka Województwa Wielkopolskiego.

PROGRAM DLA OSÓB Z NADWAGĄ I OTYŁOŚCIĄ „ODWAŻ SIĘ NA ZDROWIE”

Trwa ciągły nabór do programu „Odważ się na zdrowie” – projektu dla osób z nadwagą i otyłością zamieszkałych w Metropolii Poznań. Uczestnicy mogą liczyć na bezpłatne półroczne wsparcie dietetyka, trenera i psychologa.

Nabór uczestników, którzy chcą podjąć walkę z nadwagą i otyłością, będzie ciągły. Pierwszych sto osób już zostało zakwalifikowanych i zaczęły się konsultacje z dietetykami. Początkiem działań zmierzających do obniżenia masy ciała jest spotkanie ze specjalistą żywienia. Oprócz spotkań z dietetykiem uczestnicy będą brali udział w ćwiczeniach ułatwiających dbanie o swoje ciało. Zakwalifikowanym osobom pomoże też psycholog, który podpowie jak zbudować systematyczność i wytrwać w diecie.

O zakwalifikowanie do projektu mogą starać się osoby, które:

- mieszkają lub pracują na terenie jednego z samorządów należących do stowarzyszenia Metropolia Poznań, czyli w mieście Poznań, powiecie poznańskim, gminie Oborniki, Skoki, Szamotuły lub Śrem.

- mają ukończone 45 lat i być przed 60. (w przypadku kobiet lub 65. (mężczyźni) urodzinami.

- BMI (indeks masy ciała) mieści się między 25 a 35 (co odpowiada nadwadze lub otyłości I. stopnia), nie mają zdiagnozowanej cukrzycy oraz wykazują wysoką motywację do podjęcia działań. Poziom BMI mogą pomóc wyliczyć pracownicy Metropolii Poznań.

Projekt będzie realizowany do 2022 roku.

Zainteresowanie udziałem w projekcie można zgłaszać pocztą elektroniczną. Mail na adres odwazsie@metropoliapoznan.pl powinien zawierać następujące dane: gmina zamieszkania lub pracy, wiek, wzrost, masa ciała, obwód w pasie oraz ewentualna informacja o zdiagnozowanej chorobie cukrzycowej. Informacje o projekcie można pozyskać w Metropolii Poznań pod numerem telefonu 530 811 000. Szczegóły na stronie www.metropoliapoznan.pl

Autorem regionalnego programu zdrowotnego „Odważ się na zdrowie – program metaboliczny dla mieszkańców Wielkopolski” jest Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego. W odpowiedzi na program, Stowarzyszenie Metropolia Poznań realizuje projekt „Kompleksowe działania zapobiegające nadwadze i otyłości w Metropolii Poznań”. Projekt finansowany jest z Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach Działania 6.6, Poddziałania 6.6.1 Wielkopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2014-2020. Stowarzyszenie Metropolia Poznań na realizację projektu pozyskało 4 464 395,94 zł.

POD BIAŁO-CZERWONĄ

Rząd planuje sfinansować zakup masztów i flag dla gmin, które wezmą udział w plebiscycie „Pod biało-czerwoną”. Idea projektu „Pod biało-czerwoną” zakłada zjednoczenie kraju i jego mieszkańców. Inicjatywa zachęca do patriotycznych postaw i dumy z bycia Polakiem. Celem projektu

jest także godne upamiętnienie zwycięstwa wojsk Rzeczypospolitej nad armią bolszewicką w Bitwie Warszawskiej 1920 roku.

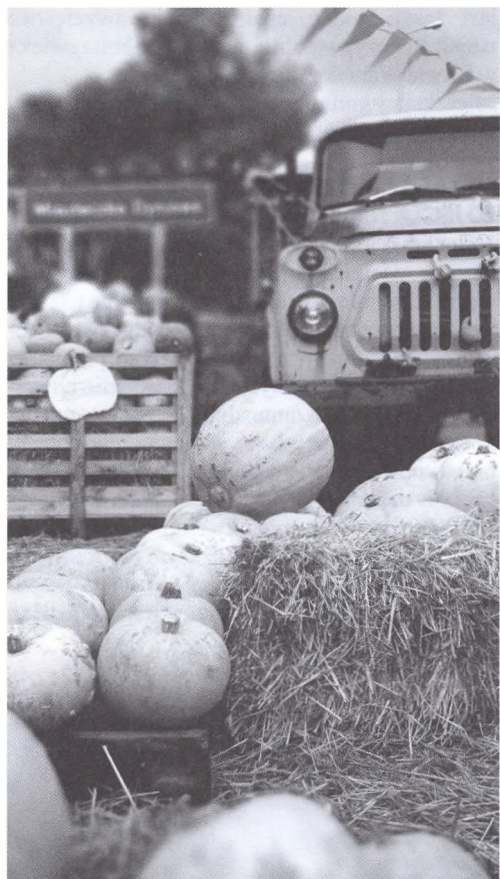
Mieszkańcy gminy Śrem również oddawali głosy w ankiecie na stronie białoczerwona.www.gov.pl.

30 LAT SAMORZĄDNOŚCI – ZDJĘCIA NA RYNKU I DEPTAKU

30 lat funkcjonowania samorządu terytorialnego to czas wielkich zmian w polskich gminach, w tym w Śremie. Od tego czasu to lokalne władze, wybrane przez mieszkańców, decydują o kierunku rozwoju gminy, o wydatkowaniu pieniędzy publicznych, o inwestycjach, o systemie edukacji, gospodarce komunalnej i wielu innych. Pierwsze wybrane władze samorządowe stanęły przed nowymi wyzwaniami. Tworzyły ramy i zasady działania jednostek samorządowych.

Aby przypomnieć mieszkańcom gminy Śrem, jakie zmiany zaszły w najbliższym otoczeniu, na rynku i deptaku na Jezioranach powstała ekspozycja fotografii, które prezentują Śrem sprzed lat.





MIASTECZKO DYNIOWE W ŚREMIE

W październiku przy Publicznej Szkole Podstawowej im. Kawalerów Orderu Uśmiechu w Śremie mieściło się Miasteczko Dyniowe. To niezwykle miejsce można było odwiedzać każdego dnia. Pomysł cieszył się zainteresowaniem mieszkańców, którzy mieli okazję wykonać pamiątkowe fotografie w wyjątkowej scenerii. Miasteczko pojawiło się również w popularnym programie telewizyjnym „Pytanie na śniadanie”, z którego nadawano prognozę pogody.

„SPOTKANIA KULTUR. KOMINIARZE W ZBRUDZEWIE”

Fundacja Atqi zrealizowała projekt „Spotkania Kultur. Kominiarze w Zbrudzewie”, który jest integralną częścią, 4 edycją (2017–2020) projektu Spotkania Kultur realizowanego od 2017 roku m.in. pod honorowym patronatem Instytutu Antropologii i Etnologii UAM, w ścisłej współpracy z Biblioteką Publiczną w Śremie oraz dzięki wsparciu finansowemu m.in.: Samorządu Województwa Wielkopolskiego i Ambasady RP w Maroku.

Celem czwartej edycji Spotkania Kultur pod hasłem „Kominiarze w Zbrudzewie” było angażowanie dzieci w upowszechnianie i pogłębianie wiedzy na temat lokalnego dziedzictwa kulturowego. Fundacja Atqi zainicjowała projekt, by młode pokolenie widziało wartość w dawnej tradycji, żeby czerpało z doświadczeń międzypokoleniowych. Ideą jest inspiracja do realnych działań, wspieranie postawy szacunku wobec starszego pokolenia i przekonanie do dialogu międzypokoleniowego.

Fundacja Atqi zachęcała do podzielenia się swoją historią o kominiarzach. Autorom zależało, by wystawa inspirowała do tworzenia kolejnych rozdziałów i kart historii kominiarzy ze Zbrudzewa. We wrześniu w Bibliotece Publicznej w Śremie można było zobaczyć wystawę – opowieść o kominiarzach ze Zbrudzewa. Wystawa była opowieścią młodego pokolenia – dzieci ze szkoły w Zbrudzewie – o ponad 100-letniej tradycji, która z jednym wyjątkiem w 2020 (pandemia COVID -19) nieprzerwanie odbywa się w Zbrudzewie pod Śremem.

Projekt „Spotkania Kultur. Kominiarze w Zbrudzewie” otrzymał dofinansowanie w programie EtnoPolska2020 z Narodowego Centrum Kultury (Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego). Patronat honorowy nad projektem objął Instytut Antropologii i Etnologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Burmistrz Śremu Adam Lewandowski. Partnerem medialnym jest TV Relax. Projekt realizowany jest we współpracy z Biblioteką Publiczną w Śremie, Szkołą Podstawową w Zbrudzewie, sołtys Zbrudzewa Niną Stępą, Kołem Gospodyń Wiejskich Zbrudzewianki.

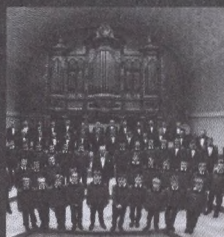
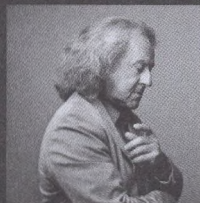
WYJAZDY DO FILHARMONII POZNAŃSKIEJ

ZE ŚREMSKIM OŚRODKIEM KULTURY

BEETHOVEN NASZ WSPÓŁCZESNY KLASYCZNIE, ROMANTYCZNIE

28 listopada 2020 (sobota) Wyjazd: 16:15
godz. 18:00 KOSZT: 50 zł (bilet i przejazd)

Krzysztof JAKOWICZ - skrzypce
Marek PIJAROWSKI - dyrygent
Orkiestra Filharmonii Poznańskiej



KONCERT MARSZAŁKOWSKI W 102. ROCZNICĘ WYBUCHU POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO

27 grudnia 2020 (niedziela) Wyjazd: 16:15
godz. 18:00 KOSZT: 45 zł (bilet i przejazd)

Chór Chłopięcy i Męski
Filharmonii Poznańskiej
Poznańskie Słowniki
Maciej WIELOCH - dyrygent

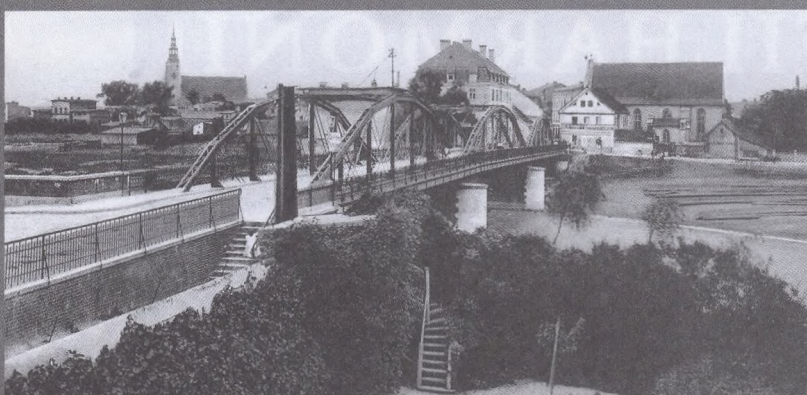
KONCERT KARNAWAŁOWY

8 stycznia 2021 (piątek) Wyjazd: 17:15
godz. 19:00 KOSZT: 125 zł (bilet i przejazd)

Katarzyna HOLYSZ - sopran
Łukasz BOROWICZ - dyrygent
Orkiestra Filharmonii Poznańskiej



Wyjazd do Poznania z Śremu w autobusie marki Mercedes-Benz Sprinter z kierowcą i opiekunem.



Widoki dawnego Śreму

wystawa wirtualna: www.muzeum-sremskie.online

Gazeta Śremska ARCHIWUM ON-LINE



30 LAT SAMORZĄDNOŚCI

maj-czerwiec 2020

Spis treści:

str. 02 **Hotel Jägerhof** [historia] [Czytaj >]
Huzarowie odkrywki
Katarzyna Gielcińska
Pocztówka z korespondencją z 1915 roku, z wizerunkiem hotelu Jägerhof, poprzednika hotelu Bazar i Domu Powstańców Wielkopolskiego.

str. 03 **30-lecie samorządu terytorialnego** [informacja] [Czytaj >]
Adam Lewandowski
Burmistrz Śreму podsumowuje 30 lat funkcjonowania samorządu miasta i gminy Śrem po zmianie ustroju w 1999 roku.

str. 06 **Tu mówi radiowęzeł Śreму** [historia] [Czytaj >]
Zapiski historyczne
Adam Podbiady
Opowieść o Radiowęźle Śreму, sremskich radiowcach i audycjach słuchanych w eter przez kochanki od początku lat 50. do 1970 roku.

str. 10 **Architekt Paul Pitt** [sylwetka] [Czytaj >]
Wicewojewoda śląski
Katarzyna Gielcińska
Sylwetka i droga architekta, autora projektu m.in. budynku starostwa powiatowego w Śreмі, ratusza w Kórniku czy przebudowy pałacu w Grzybnie.

str. 14 **Od wschodu do zachodu słońca** [fotoreportaż] [Czytaj >]
Z pamiętnika starego
Łuczek Markowski

Bibliografia

Rok 2020
styczeń-luty
marzec-kwiecień
maj-czerwiec
lipiec-sierpień

2016 2017 2018 2019 2020



130 LAT URZĘDU POCZTOWEGO ŚREM

KOLEKCJĘ PREZENTUJE SŁAWOMIR TOMKÓW

POKAZY FILATELISTYCZNE

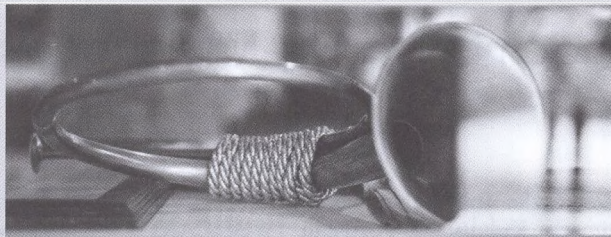
Włodzimierz Bobrowski

„Powstanie Wielkopolskie 1918/19 - mały przyczynek pocztowo-filatelistyczny”

Henryk Rykert

„Apollo 11 - reportaż z historycznej podróży”

„Magiczny świat Walta Disneya”



Wystawa dostępna do końca listopada 2020 roku:

- w pawilonie wystawowym - w godzinach pracy Muzeum
- z zewnątrz - w godzinach otwarcia muzealnego ogrodu

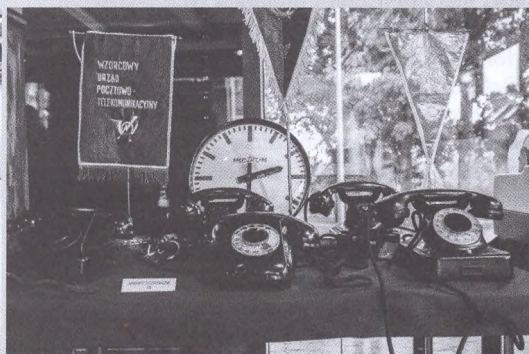
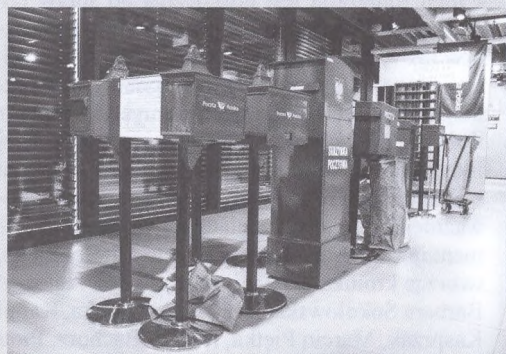
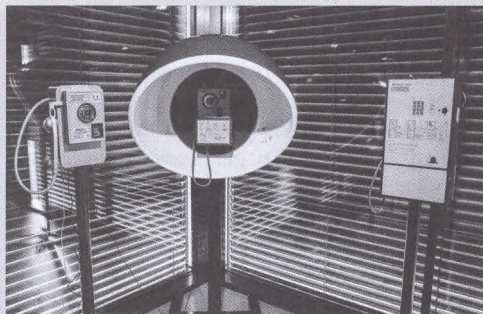


foto: Sławomir Radziejewski



Biblioteka

Publiczna im. H. Świąćckiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

Jerzy KONDRAS

Śladami Mistrzów – V Wielkopolski Festiwal Fotografii

Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu (WBPiCAK) w dniach 15-31 października 2020 roku zorganizowała V Wielkopolski Festiwal Fotografii im. Ireneusza Zjeżdżałki. Celem imprezy był przegląd fotograficznej aktywności Wielkopolan. W ramach festiwalu obok rozstrzygnięcia konkursu „Moja Wielkopolska” odbyło się szereg działań edukacyjnych oraz wystaw fotograficznych, podejmujących tematykę regionu. Imprezy te były zrealizowane w galeriach Poznania oraz w ponad pięćdziesięciu galeriach, bibliotekach i ośrodkach kultury na terenie województwa wielkopolskiego. Wydarzenia te zostały zorganizowane przez lokalne instytucje kultury oraz organizacje pozarządowe w ramach ich działalności statutowej. Działania te miały charakter oddolny, a WBPiCAK w Poznaniu podjął się opieki merytorycznej i promocji tych wydarzeń w ramach Festiwalu oraz udokumentowania ich w formie katalogu, który był dystrybuowany w Polsce i za granicą. Motywem przewodnim tegorocznej edycji Festiwalu (Śladami Mistrzów) było twórcze przypomnienie sylwetek zasłużonych dla fotografii wielkopolskich twórców i animatorów, którzy żyli i tworzyli na wielkopolskiej prowincji, byli częścią swoich społeczności, ale skalą swojego talentu i dokonaniami wykraczali poza to co lokalne.

(źródło: <https://www.wbp.poznan.pl>)

Jednym z wydarzeń V Festiwalu był wernisaż wystawy „4 x 9” Śremskiej Grupy Fotograficznej, który odbył się 19 października 2020 r. w Bibliotece Publicznej m. Heliódora Świąćckiego w Śremie. W galerii biblioteki dziewięciu członków Grupy zaprezentowało ponad 100 interesujących spojrzeń fotograficznych na otaczający nas świat. W obszernym, ponad 200-stronicowym katalogu Wielkopolskiego Festiwalu Fotografii, ukazującym wszystkie wydarzenia, które odbywały się w dniach 15-31 października 2020, zawarta jest strona poświęcona Śremskiej Grupie Fotograficznej o treści:

„Głównym celem jednej z młodszych w Wielkopolsce grup fotograficznych (ŚGF w styczniu 2020 roku obchodziła swoje 5. urodziny) jest skupianie osób o podobnych zainteresowaniach, których w Śremie i okolicy nie brakuje. Dla wielu z nich fotografia jest odskocznią od spraw codziennych. Skrzykują się przez portale społecznościowe, odkrywając w sobie pasję fotografii. Nieważne, jakim sprzętem dysponują, najważniejsze są chęci, dobre oko i pomysły – poprzez ilość zrobionych zdjęć każdy wypracowuje swój indywidualny fotograficzny styl. Od kilku lat członkowie ŚGF zjawiają się na wszystkich najważniejszych wydarzeniach w mieście, dokumentując różne aspekty życia społecznego, tworząc kronikarski zapis naszych dni. Autorzy: Barbara Sokołowska, Irena Krzeszewska, Kamil Kasprzak, Marcin Piętka, Michał Bachorz, Piotr Pieczykolan, Piotr Szalony, Sławomir Radziejewski, Szymon Mądry”.



Wczesna jesień w Rogalinie, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Park Odlewników. Fot. Sławomir Radziejewski
IV – Śremska gwara. Projekt Samuel Bednarski

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841208, www.drukarniasrem.pl

POCZTA

jest,
było,
się mówiło

Budynek poczty z 1890 roku, usytuowany u ciągu zwartej zabudowy wschodniej pierzei rynkowej, stylem fasady nawiązujący do ceglanego gotyku. Obecnie siedziba Urzędu Pocztowego nr1.



Fot. ze zbiorów Muzeum Śremskiego



Fot. Piotr Pieczykolan, 2020

ŠKEMSKA GWARA



GRAJOTKO

GRAJOTKO

radyjko

BY EWA NOWAK & SAMBŁ

ISSN 1232-7476



9 771232 747001

11